BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 22.

Władysław Łokietek

(POWIEŚĆ HISTORYCZNA)

Franciszka Wężyka

z przedmową
Jm. Leon Wołowski
Juliana Mohorta.

TOM I

Cena 40 kop.
W prenumeracie 30½ k.

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya:
47. Nowy-Świat 47.
1898.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:	Z przesyłką pocztową:
Rocznie . (52 tomy). rs. 10	Rocznie. . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop.

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzą dzieła następujących kategoryj:

1. **Arcydzieła literatury powszechnej,**
2. **Dzieła beletrystyczne** (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. **Dzieła historyczne,** szczególniej pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości,
4. **Dzieła popularno-naukowe** ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA *Saturnin Sikorski.*

ZA REDAKTORA *Klemens Szaniawski.*

Druk. Artyst. Saturnina Sikorskiego. Nowy-Świat 47

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Февраля 1896 г.

WŁADYSŁAW ŁOKIETEK.

Franciszek Wężyk.

WŁADYSŁAW ŁOKIETEK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z PRZEDMOWĄ

JULIANA MOHORTA.

№ 1050

TOM I.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum
w GLIWICACH

WARSZAWA.
Drukarnia Artystyczna
Saturnina Sikorskiego.
47. Nowy-Świat, 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 6 Февраля 1898 года.

SN 23053

8II.162.1-311.6

PRZEDMOWA.

Przyznaj się, czytelniku, że uważasz za prostą stratę czasu czytanie staroświeckich powieści. Wszak prawda? Otóż chciałbym cię skłonić do pewnych ustępstw od tej zasady.

Był czas, kiedyśmy cenili tylko stare książki, a lekceważyli nowe. Teraz wpadliśmy w drugą ostateczność: wydaje nam się, że nauka, sztuka i literatura tak szybkie czynią postępy, że tylko to, co ostatnie pokolenie wydało, zasługuje na uwagę i szacunek.

Dajmy na to, że tak jest z nauką, chociaż i pod tym względem należałoby poczynić zastrzeżenia; ale już co się tyczy literatury i sztuki, mylność powyższego mniemania dałaby się z łatwością wykazać.

Ogólnie przyśpieszone tempo życia społecznego, bezporównania większa ilość i różnobarwność dzieł produkowanych, budzą w nas złudzenie niezwykle szybkiego postępu.

Tymczasem — postęp wprawdzie jest, ale bynajmniej nie tak szybki, jak się wydaje.

Jeżeli odtrącimy ową gorączkę końca wieku i ów nadmiar produkcyi, sprowadzający większą rozmaitość; jeśli odrzucimy nadto przeobrażenia w formach języka, który tak szybko się starzeje, to, w stosunku do ilości utworów, jakość ich wiele pozostawi do życzenia. Powiedziałbym nawet, że nigdy nie psuto tyle papieru, co dzisiaj.

Szkoły literackie następują po sobie, przeciwstawiają się jedna drugiej — w gruncie rzeczy jednak tworzy je nie tyle postęp, ile żądza nowych wrażeń i prosta opozycya względem wczorajszych ideałów. Żyjemy tak prędko!

Skoro zaś dzieło jakie naprawdę wybije się nad poziom, zaczyna być podobniejszem do dawnych arcydzieł, niż do współczesnych literackich wynalazków.

Książka niniejsza nie jest ani arcydziełem w rodzaju „Don Kiszota“ Cervantesa, ani wzorem tworzącym szkołę, jak powieści Walter-Skotta, pod których natchnieniem powstała. Jeżeli jednak zestawimy ją z tłumem nowoczesnych, zwłaszcza francuskich romansów, co do których, jeśli się nie mylę, następuje już przesyt wśród publiczności, to doprawdy, odskok będzie tak wielki, a tak na korzyść tej starzyzny przemawiający, że, choćby dla porównania, warto ją przeczytać.

I nietylko dla porównania.

Jeżeli chcesz, czytelniku, ożywić w sobie dobre, stare uczucia, pomarzyć o czasach zamierzchłych, zastanowić się nad nauką, jaką, wbrew skeptycyzmowi najnowszej szkoły, zawsze przynosi historya — przeczytaj „Władysława Łokietka.“

Roztoczy on przed tobą szereg obrazków, popodwójnie interesujących: raz ze stanowiska powieści, drugi raz ze stanowiska historyi. Autor bowiem nie jest bynajmniej klasykiem - deklamatorem, lecz klasykiem - malarzem: nie nudzi opisami lub rozprawami, lecz kilkoma czystemi farbami swojej, nie ubogiej, choć skromnej palety, maluje przed oczyma czytelnika jeden obraz po drugim. I tak, nie męcząc myśli subtelną analizą, ujrzysz przed sobą panoramę zdarzeń i wizerunki osobistości, bądź-to znanych z historyi, bądź dostrojonych do tła epoki.

A tło to niepomiernie ciekawe, wiek bowiem XIII jest przełomowym w naszych dziejach.

W nim po raz pierwszy wstrząsają Polską najazdy Tatarów, a wyludnione po nich wsie i grody, zapełniają się niemiecką kolonizacyą; w nim to, pod okiem nieopatrznych książąt, zapuszcza swe korzenie żelazny Zakon Krzyżacki; szczęściem, że wówczas też po raz pierwszy, budzi się poczucie narodowe i rozdrobnione, drące się między sobą dzielnice, jakby znużone tą bezmyślną a bratobójczą walką, poczynają skłaniać się ku jedności. W nim po raz pierwszy — i bodaj czy nie ostatni — występuje mieszczaństwo, jako silny czynnik polityczny (niestety, mieszczaństwo obce!). W nim po raz pierwszy wyodrębnia się szlachta, chociaż zachowuje jeszcze czucie z ludem i daleką jest od późniejszych politycznych nadużyć. W nim wreszcie duchowieństwo, stawszy się polskiem, dzielnie pracuje nad spojeniem młodzieńczej duszy narodowej, właśnie w chwili największego politycznego rozbicia.

Wiek to wielkich społecznych kontrastów: starej ciemnoty i młodej oświaty, dzikości rycerskiej i kanonicznej świątobliwości, poświęcenia i zepsucia, rozdwojenia i prób jedności.

Czyż na tle takiem nie będzie zajmującą postać małego rycerza, a przyszłego wielkiego monarchy, odznaczającego się od współczesnych (a nawet i późniejszych!) rodaków, niezwykłą cnotą *wytrwałości?* Czyż nie będzie pouczającym obraz naszego politycznego niedołęztwa, naszych wiecznych swarów i partykularnych interesów, czyniących z Polski zajazd, dla kandydatów do chwiejnego tronu?

Smutnie to wszystko wygląda, chociaż nie w intencyi autora. Autor maluje z miłością, opowiada z wiarą i raczej zarzucić mu można pewien koturnowy poziom postaci i sytuacyj, właściwy zresztą wszystkim tamtoczesnym autorom, a którego nawet dziś jeszcze powieściopisarze pozbyć się nie umieją. Mamyż zarzucać autorowi, że się w psychologię nie zagłębiał? Że wcale nas nie przygotował do zrozumie-

nia, jakim sposobem szlachetny rycerz i kochanek zamienił się w zniewieściałego a srogiego wodza — potem w pokutującego pielgrzyma i znów w bezlitośnego, ale dzielnego, choć nie zawsze przewidującego króla? Że tła historycznego dostatecznie nie naszkicował? Że tu i owdzie od historyi zboczył? Że w konstrukcyi powieści, a zwłaszcza w zaokrągleniu roboty, wiele pozostaje do życzenia?

Byłoby to i niesprawiedliwem i zbytecznem. Trzeba go brać takim, jakim jest: prostym, serdecznym, chociaż bynajmniej nie modnym opowiadaczem. Oswoić się z jego archaicznym językiem — to kwestya kilku kartek, a ów lekki patos klasyczny nie razi tak dalece u autora, żeby miał do czytania zniechęcić.

Drukowana na bibule, powieść niniejsza, poprzedzona już kilku analogicznemi utworami, a mianowicie sławną „Pojatą“ Bernatowicza (1826), ukazała się w Warszawie w r. 1828, podpisana tylko skromnemi literami F. W. Musiała jednak mieć powodzenie, skoro wkrótce potem wydał autor drugą podobną powieść p. t. „Zygmunt z Szamotuł“ (1830), opiewającą dzieje następnego (XIV) wieku.

Jakkolwiek bowiem właściwe, czyli trwałe panowanie Łokietka (1306 — 1333) przypada na wiek XIV, autor, wbrew tytułowi powieści, dał nam tylko obraz młodości swego bohatera, co prawda, młodości pełnej walk i przygód, tak ponętnych dla powieściopisarza.

Przed ogłoszeniem „Władysława Łokietka, czyli Polski w XIII w.“, Franciszek Wężyk (1785 — 1862) wsławił się głównie tragedyami: „Glinka,“ „Barbara Radziwiłłówna,“ „Bolesław Śmiały“ i „Wanda.“

Zajmował też stanowiska społeczne i polityczne i był dwukrotnie posłem na sejm warszawski, raz w 1810 — 1813, drugi raz w 1830. Po rewolucyi osiadł w Krakowie, gdzie go obrano prezesem Towarzystwa Naukowego.

Z wykształcenia prawnik, z upodobania poeta, zaliczał się do obozu klasyków i celował poprawnym, treściwym, a jednak obrazowym językiem, widniejącym zwłaszcza w jego pomacie p. t. „Okolice Krakowa“ (1820). We wszystkich zaś swych pracach bez wyjątku, wyraża uczucia podniosłe, łatwo trafiające do serca. To też „żaden z dzisiejszych dramatów, mówi Wójcicki, nie uzyskał tego współczucia, z jakiem przyjmowano na Teatrze Narodowym tragedye Wężyka. Scena wówczas spajała się ściśle z sercami widzów. Wężyk umiał nieraz niemi zawładnąć i obudzić szlachetny i wzniosły zapał.“

Nie należy jednak oczywiście, owego powodzenia mierzyć dzisiejszą miarą. Były to czasy naśladownictwa francuskiej i angielskiej literatury, ale zarazem czasy gwałtownego pragnienia utworów podobnych a swojskich. Wszystko więc, co tym pragnieniom odpowiadało, witano z niezwykłym zapałem. Nie wymagano od autora ani umiejętnej budowy utworu, ani głębokiej psychologii — żądano pięknej, potoczystej formy i wzruszeń estetycznych. Te zaś, jakie dawał Wężyk, odpowiadały niewątpliwie i duchowi narodu, i nastrojowi chwili.

Ala właśnie dlatego, że czasy były tak różne i wymagania tak odmienne, odczytanie jednego z tych utworów, po latach siedmdziesięciu, będzie dla myślącego czytelnika przyjemną i pouczającą rekreacyą, a dla dusz mniej wymagających, nawet ponętną biesiadą.

Jeśli więc, czytelniku, czujesz się wyższym nad tego rodzaju lekturę, nie poskąp jej młodszej braci — a spełnisz dobry uczynek.

Julian Mohort.

ROZDZIAŁ I.

Powrót z łowów.

Słońce jesienne zniżało się ku zachodowi, a dzień jasny, cichy i ciepły zdawał się przedłużać niedawno upłynione lato. Piękna Jadwiga, pierworodna córka Bolesława, kaliskiego książęcia, na śnieżnym koniu opuszcza mury rodzinnego zamku, spiesząc naprzeciw ojcu, zabawnemu [1]) od świtu łowami. Z żywością młodzieńczego wieku szybko przebywa ulice Kalisza, ażeby na równem błoniu doświadczyć rączości, już od dni kilku niejeżdżonego rumaka. Stary Sulisław, koniuszy książęcy, na krok nie odstępuje jej boku.

Dalej nieco wyjeżdża w poczwórnym rydwanie matka Jadwigi, Jolanta, córka króla węgierskiego Beli. W jej twarzy, tak jak niebo dnia tego pogodnej, ryje się spokojność duszy, a wdzięki, dotąd ręką czasu nie tknięte, wydają czyste serce, do którego burze namiętności nigdy nie miały przystępu.

Obok niej siedziała druga jej córka, Elżbieta, podobna do róży, która się z pączka dobywa. Pięcioletnia Hanna uśmiecha się wdzięcznie do siostry,

[1]) Bawiącemu się.

spoczywając na macierzystem łonie. Letnia ochmistrzyni, zająwszy cały przód wozu, daje pilne baczenie na każde poruszenie i słowo księżniczek.

Już zostawili za sobą rozległe błonia, ciągnące się wzdłuż nurtów Prosny, już przebywali obsiane pola, przez które świeża zieloność uśmiechała się nadzieją przyszłego plonu, już się zbliżali do kniei, z której odgłos trąb myśliwskich odzywał się niekiedy, gdy matka, chcąc pohamować żywość Jadwigi, a raczej zachować ją od szwanku, zawołała:

— Nie tak skoro, córko nasza, zmordujesz konia, wprzód nim ojca spotkamy. Po dźwięku trąb poznaję, że się nasi myśliwi daleko zapędzić musieli. Nie odstępuj tego rydwanu, błogo jest siostrom patrzeć zblizka na ciebie.

Posłuszna skinieniom matki, Jadwiga nie bez zgryzoty jednakże, powściągnęła już nieco rozognionego rumaka. Malutka Hanna, spostrzegłszy ją przy sobie, wyciągnęła ku niej pulchne swe rączęta. Stary Sulisław podał dziecinie z uśmiechem gałązkę jarzębiny, okrytą rumianemi jagody.

Wjechali w gęsty las, od dwóch prawie wieków, niegwałcony siekierą. Wyniosłe drzewa; obnażone w połowie z powiewnych warkoczy, nowa wspaniałość okryła. Rumieniły się od słońca rozłożyste klony; płaczące brzozy, świetną niedawno zieloność na żółtą zamieniły barwę; bezlistne jarzębiny szkarłatnym połyskiwały owocem; później od innych mieszkańców lasu rozzielenione dęby zachowały jeszcze całą czerstwość w gęstych swych liściach, a wzniesione pod obłoki modrzewie pysznily się ztąd

nad inne drzewa, że zbliżająca się zima całą swoją potęgą ich zieloności zmienić nie zdoła.

Ustał gwar ptasząt, których roje sprowadza do tego lasu wiosna. Zaledwie słychać gdzieniegdzie smutny odgłos kwiczołów lub gwizdanie czerwieniących się zdaleka gilów. Zeschłe liście, rozsypane po ścieżkach i drogach, przerywały to uroczyste milczenie ponurym szelestem, gdziekolwiek je stopa żyjącego stworzenia wzruszyła.

Obraz ten blizkiej zgonu natury na umyśle młodej Jadwigi głębokie uczynił wrażenie. Niedawno pełna wesołości życia, zadumała się, jadąc kroczo [1]) około matczynego rydwanu. Nawet Sulisław, żarliwy myśliwiec przed laty, chociaż pałał silną żądzą trafienia choćby na koniec łowów, jechał za Jadwigą w milczeniu, jak gdyby przewidywał niepomyślny koniec dzisiejszej ochoty.

Znagła trąbka myśliwska obudziła go z długiego dumania.

— W prawo! — zawołał na woźnicę Jolanty — tam oto widziałem dokładnie książęce ogary. Czy słyszysz, miłościwa pani, jak dzielnie grają? Jam to je w pierwsze zaprawiał pole. Tam, tam znajdziemy samo czoło myśliwych.

Rozszerzyła się w tem miejscu potoczysta droga, a odgłos psów i trąb, zwolujących je w swory, ustawał powoli. Przebiegały jadącym drogę rozpłoszone daniele i sarny, jak niedobitki uszle rąk zwycięzców. Wspaniały jeleń, nim rączym krokiem sunął w gęstwinę, zatrzymał się nieco i spojrzał na

[1]) Stępa.

Jadwigę, jakby zdziwiony nowością widoku pięknej dziewicy na okazałym rumaku. Drżał z niecierpliwości stary Sulisław, nie mając przy sobie innej broni, oprócz harapa. Wszystko zachwycało młode córki patrzącej na wszystko spokojnem okiem Jolanty. Wtem ujrzeli z dalek świetne groño myśliwców, wracających powolnym krokiem na zziajanych i ledwie dyszących dzianetach.

Jechał na czele sędziwy Bolesław, książę kaliski, syn Władysława Odonicza, wielkopolskiego książęcia. Współcześni i potomni słusznie go nazwali pobożnym, bo wszystkie swoje sprawy i myśli odnosił zawdy do Boga. Liczne wojny i prace czarny włos jego wczesnym szronem okryły. Dłoń krzepka, a twarz rumiana, oznaczały męża nieleniwego do trudów. Kochany od poddanych dla sprawiedliwości i starań o dobro powszechne, budował zamki, opatrując bezpieczeństwo krajowe i zawsze był gotów do odporu napaści, do dzielnej uciśnionym pomocy. Rozplemiona Piastów rodzina znajdowała w nim rozjemcę sporów i bezkorzystną w nieszczęśliwych przygodach podporę. Księztwa Kujawskie i Mazowieckie były jasnym dowodem tej prawdy. Używając sławy dobrego pana i dzielnego rycerza, smucił się przecież ku schyłkowi lat swoich, że mu nieba nie udzieliły płci męzkiej potomka. Trzy córki z cnotliwej i ukochanej Jolanty osładzały mu życie. Kochał je wszystkie zarówno; lecz pierworodna Jadwiga, już będąca w możności odpowiadania jego ojcowskim staraniom, serca jego najbliższą być się zdawała.

Po prawej stronie książęcia jechał na silnym i opasłym fryzie Konrad de Tierberg, komendor mal-

borski, przybyły do Kalisza pod pozorem poszukiwania skutków, zdziałanej przed kilku laty między Bolesławem a Teodorykiem, mistrzem krzyżackim w Prusach umowy, istotnie zaś w celu czuwania nad zjazdem książąt z krwi Piasta w murach Kalisza. Twarz jego chudą i ściągłą wzrok sokoli ożywiał. Zakonna kapica źle pokrywała obłudne serce: cała postawa dumę skojarzoną z męztwem zdradzała.

Miło i żywo odbijała od jego surowej i ponurej twarzy wdzięczna postać jego giermka, Dytrycha z Oldemburga, który w samym kwiecie młodości, poruczony staraniom i władzy krzyżackiego zakonu, już był przywdział jego znaki, lecz jeszcze ślubów nie spełnił. Ten, lubo ze świetnej w Niemczech pochodził rodziny i piękne na przyszłość dawał o sobie otuchy, przecież dla wprawienia się w pokorę zakonną zaczął swój zawód od stopnia giermka i w takowym stawionym był na dworze kaliskiego książęcia.

Po lewej ręce Bolesława widziano dwu książąt mazowieckich, Konrada i Bolesława, braci rodzonych, których uszanowanie i wdzięczność dla kaliskiego książęcia równały się czci i uszanowaniu synów Ależ Bolesław stał się dla nich więcej niż ojcem. Bo gdy Ziemowit, ich rodzic, w wojnie z Litwą i Rusinami poległ z rąk okrutnego Swarnona łuckiego i drohickiego książęcia, i gdy całe Mazowsze poszło na łup ognia i miecza, Bolesław kaliski na prośbę ich matki, Giertrudy, przysłał znaczne posiłki w ludziach rycerskich dla obrony kraju, dla naprawy zamków i włości, tudzież dla wspomożenia zgłodniałych mieszkańców, wielką liczbę żywności i rzemieśl-

ników; sam zaś w niedługim czasie przybywszy do Płocka, zamek tameczny od pogan zburzony naprawił, a przywrócone księztwo do jakiegokolwiek porządku oddał wdowie i dwom jej synom, zostawując sławę potomnym wiekom dobroczynności i nieskwapliwego na cudzą własność umysłu. Dlatego Konrad z Bolesławem często przebywali u dobroczyńcy swojego; dlatego we wszystkich przygodach i sprawach szukali jego zdania i rady.

Tuż przy nim jechał Henryk, książę lignicki, tłustym nazwany. Miał on tajemne myśli starania się o rękę pięknej Jadwigi, lecz widząc wstręt wyraźny księżniczki ku sobie, w późniejszym czasie ku jej młodszej siostrze, Elżbiecie, odwrócił swoje zamiary. Dziś, znużony zanadto długo trwającą ochotą, ledwie zdołał utrzymać równowagę swojego ciała na upadającym prawie pod jego ciężarem rumaku.

Ziemomysł, książę kujawski, któremu Bolesław równie jak mazowieckim, przywrócił zbuntowane księztwo, jak w całem życiu tak i teraz trzymał się Krzyżaków, przepędziwszy młodość pod ich dozorem i przejrzawszy obyczaje niemieckie, stał się niemiłym własnemu ludowi. A gdy wzburzeni kujawianie ofiarowali Bolesławowi poddaństwo, wspaniałomyślny książę, zamiast odniesienia ztąd jakiej korzyści, nakłonił ich swemi radami, że się sami napowrót berłu Ziemomysła poddali. Łowy nie były jego ulubioną zabawą: dzieląc trudy myśliwskie dla towarzystwa Krzyżaków, z nimi jedynie w poufalszym sobie rozmawiał języku. Zaproszony do Kalisza Przemysław książe poznański, a Bolesława synowiec, nie mógł przybyć dla słabości niedawno pojętej małżonki, Ludgardy.

W dalszym Bolesława orszaku widziano osiwiałych w boju: Przedpełkę herbu Radwan, wojewodę poznańskiego, Jana herbu Grzymała, kasztelana kaliskiego, Mikołaja Zarębę i wielu innych rycerskich młodzieńców.

— Za późno, za późno—odezwał się Bolesław, widząc spieszące ku sobie żonę i córki; — jużeśmy szczęśliwie zakończyli naszą ochotę. Witam was, miłościwa księżno, i was, drogie moje dzieweczki! Jadwigo, pojrzyj, co tu zwierzyny! Ufamy, że w dniu jutrzejszym twoich urodzin nie zabraknie nam jadła, Piwniczy ręczy za napój, a ci oto książęta postanowili sprawić wam miłą rozrywkę z gonitw i turniejów.

Zbliżyła się Jadwiga do ojca i zamiast odpowiedzi, ucałowała jego sędziwą rękę.

— Zawrócono rydwan Jolanty, a gdy Jadwiga chciała się złączyć z ojcowskim orszakiem, nie ustąpił jej miejsca Konrad de Tierberg. Skwapliwszymi ku temu okazali się mazowieccy książęta. Młody Dytrych, widząc księżniczkę pierwszy raz na koniu i piękniejszą niż kiedy, złorzeczył dumie komendora, która go pozbawiła blizkości i widoku Jadwigi.

Tymczasem Sulisław, ucieszony z mnogości pobitej zwierzyny, tak jakby sam na nią polował, kazał nią porządnie objuczać podprowadzone stępaki.

Widząc Bolesław jego zabiegi, rzecze:

— Patrz, córko, tę łanię położył od jednego strzału książę mazowiecki, Konrad. Brat jego, Bolesław, uganiał się całą godzinę za tym rogaczem. Ojciec twój strzelał na przemiany z komendorem do tego łosia;

oba nie wiemy, do kogo należy sława jego zwalczenia. Mężny Dytrych zadał cios ostateczny temu dzikowi. O mało jego odwaga nie stała się przyczyną wielkiego nieszczęścia, przed którem go książę lignicki zasłonił. Wojewoda poznański przyniósł nam tego daniela. Kasztelan dowodził obławą. Zaręba oddzielnie od nas uwziął się na ptactwo i mocno jego stada przerzedził. Ziemomysł nie pochlubi się podobno ani jednym nawet zajączkiem.

— Czy wiele znajduje się w lasach pruskich zwierzyny? — zapytała Jadwiga zadumanego Konrada de Tierberg.

— Więcej niż pogan — odpowiedział mnich wyniosły — których wytępianiem oręż nasz ciągle jest zabawny.

— Ależ wasz giermek — rzecze Jadwiga — musi być biegłym myśliwym.

— Ten dzieciuch — odrzekł jej Konrad — zaledwie przepasany orężem, jeszcze nie zasmakował w przelewie krwi niewiernych. Snadniej mu uganiać się za pierzchliwą łanią, niżeli oczyszczać dziedzictwo naszego Zakonu z jadowitych smoków i gadów, które jeszcze w Prusiech pozostały w niewytępionej dziczy. Nie zajrzę [1]) mu jego płochych igraszek, lecz ufam, że je wkrótce na ważniejsze sprawy dla dobra chrześciaństwa zamieni.

— Wasze słowa tchną krwią i morderstwem — zawołała Jadwiga. — Ja wolę tych, co przebaczają ludziom, a płoszą i wytępiają zwierzynę.

W tej chwili zwróciła Jadwiga niebieskie swe

---

[1]) Zazdroszczę.

oko na zarumienionego Dytrycha, który to jedno, choć tak niewinne spojrzenie, chętnieby zamienił za wszystkie kraje i twierdze, na jakie chciwość Krzyżaków łakome rozciągała ramiona. Twarz jego rozjaśniła nieznana mu radość, która za jednem surowem Konrada de Tierberg wejrzeniem w nagłej bladości skonała.

Gdy się do zamku zbliżali, odezwały się dzwony kościelne i książęcej kaplicy, wzywając wiernych do wieczornej modlitwy. Przebiegł spiesznie Bolesław z całym orszakiem mosty i dziedzińce, a zatrzymawszy się u podwojów kaplicy, zsiadł z konia i uchylił sędziwych swych kolan przed ołtarzem Maryi Panny, który nie gasnąca nigdy oświetlała lampa. Wszyscy, prócz komendora, za wzorem letniego książęcia poklękli, który z głębi serca westchnąwszy, pierwszy Anioł Pański zanucił. Nie była do smaku hardemu krzyżakowi ta szczera i prosta staropolska pobożność. Stał jednak jak wryty, nie śmiejąc ani wyjść z kaplicy, ani też za innymi ugiąć kolana; bo taka jest wyższość nad umysłami prawdziwej bogobojności, że ci nawet, którzy nie idą za jej popędem, nie śmieją jej odmówić pomimowolnego uczczenia. Inne wcale było położenie młodego Dytrycha. Niezepsute w nim serce szło jeszcze za uczuciami, wpojonemi z dzieciństwa, i nie umiało pojąć, jak można było dumę z pokorą, poświęcenie się usługom religii ze wzgardą świętych jej obrzędów kojarzyć. Śpiewał on z innymi z całej duszy modlitwy wieczorne, a głos jego, tak czysty jak sumienie, szedł prostą drogą do niebieskich przybytków. Po ukończeniu modlitwy poważny kapłan podał z uszanowa-

niem wodę święconą książęciu, a potem nią wszystkich obecnych pokropił.

— Za pół godziny czekam was, mili goście, w izbie jadalnej — odezwał się, wychodząc z kaplicy, Bolesław i udał się do zamku.

ROZDZIAŁ II.

Nieznajomy.

Na pięknem wzgórzu, panującem nad miastem i nad błoniami Prosny, wznosił się zamek kaliski. Dawne podania o założeniu miasta przyznają takowe jednemu z synów najpierwszego Lecha. Pewniejsze dzieje, opisując walki Bolesława Krzywoustego ze Zbigniewem, bratem z innego łoża, założenie zamku kaliskiego ostatniemu przyznają. Mieczysław Stary, książę wielkopolski, rozprzestrzenił go znacznie, a prawnuk jego, Bolesław Pobożny, pan gospodarny i miłośnik porządku, ściany drewniane starożytnego grodu w murowane i warowniejsze zamienił.

Dwie długie i w półksiężyc wzniesione bramy, a nad niemi wieże gotyckie z krużgankami dla straży, strzegły zwodzonych mostów i prowadziły do obszernych dziedzińców. Na jednym z nich stała zamkowa kaplica, a przy niej kamienna studnia dostarczała obficie wody tak dla załogi i dworu książęcego, jako i dla umieszczonego przy zamku dobytku. Czoło samego zamku zdobiły drzwi ciosowe. Nad niemi wznosił się herb starożytny królestwa

i całej Piastów rodziny, orzeł biały w polu czerwonem, mający na piersi żubrzą głowę z przewleczonym przez nią pierścieniem, herb Kaliskiego księztwa. Wązkie a wysokie z szyb kolorowych okna oznaczały książęce mieszkanie. Dwa skrzydła, przytykające do środka gmachu, zamykały w górnych pomieszkaniach dla goszczących i dla służby obszerne komnaty, w dolnych zaś zbrojownię, skarbiec, stajnie i rozmaite składy. W jednym z tych skrzydeł była piekarnia i kuchnia, przez które strumień obfitej wody przepływał. Pięć wież pomniejszych, w równej odległości od siebie wzniesionych, nadawało temu zamkowi postać twierdzy, wzbudzającej uszanowanie zdaleka.

Szerokie schody kamienne do ogromnej prowadziły sieni. Tam na ciemnych i wysokich ścianach wisiały długim rzędem łupy z pobitych zwierząt: łby łosie i jelenie, skóry z niedźwiedzi i wilków, ogromne rogi żubrów i turów i mnóstwo świeżo pobitej zwierzyny. Dwa wielkie kominy, ozdobione w ramy drewniane i powleczone brunatnym kolorem, od początku jesieni do lata nieprzestannym ogniem pałały. Cała służba książęca mogła się przy nich ogrzać odrazu. Dwa psy wierne strzegły drzwi, prowadzących do pańskiej sypialni. Na środku długie stoły i ławy; posadzka z cegły na sztorc kładzionej.

Izba jadalna równała się obszernością sieni. Sześć okien gotyckich oświetlało ją we dnie. Na prostem i nieozdobnem sklepieniu trzy mosiężne świeczniki wisiały. Ściany były pełne wizerunków królów i książąt, w których prostota sztuki walczyła z chęcią wydania charakterystycznych znamion ich

czynów i przysług dla kraju. Widziano tam Mieczysława I z krzyżem w ręku i z twarzą wzniesioną ku niebu. Syn jego, Bolesław Chrobry, trzymał szczerbiec podniesiony do uderzenia w bramę Kijowa. Mieczysław II w zniewieściałej twarzy objawiał piętno tych nieszczęść, które z jego rządów na Polskę spłynęły. Kazimierz I na pamiątkę pierwotnego stanu swojego, przy monarszej koronie złożonej na stole, miał obok mniszą kapicę. Twarz rycerska i piękna, wzrok ognisty, ręka ściągnięta do szabli, znamionowały Bolesława Śmiałego. Władysław Herman wyobrażonym był w tęsknej postaci z powodu ucieczki brata i zamieszań krajowych; przecież uśmiechał się nieco, widząc w powiciu długo od niebios żebranego potomka. Syn jego, Bolesław Krzywousty, trzymał w ręku to nieszczęśliwe pismo, którem piękne swe dziedzictwo pomiędzy czterech synów rozdzielił. Późniejsi książęta polscy, przy których władza monarchiczna została, zajmowali boczną ścianę. Wszakże Bolesław, Wstydliwym nazwany, niniejszy zwierzchnik wszystkich książąt i panujący monarcha, obok Krzywoustego w rzędzie wyliczonych królów ostatnie zajmował miejsce, które miał wkrótce innemu ustąpić. Ten albowiem zachowywano zwyczaj w zamku kaliskim, iż po zgonie panującego w Krakowie książęcia wizerunek jego na bocznej umieszczano ścianie; obraz zaś nowego pana i władcy przy Bolesławie Krzywoustym wieszano. Na lewej ścianie ciągnęły się wyobrażenia wielkopolskich książąt. Pierwszym z nich był Mieczysław, dla roztropności nazwany Starym. Otto, syn jego, z Elżbiety węgierskiej, córki Beli ślepego, lubo umarł przed ojcem

i nie panował; równie jak brat jego Bolesław z Eudoksyi rusinki zrodzony, poległym w bitwie pod Jędrzejowem, między Leszkiem Białym a Mieczysławem Starym stoczonej, obok ojca dwa pomniejsze zajmowali płótna. Władysław Laskonogi, inny syn Mieczysława, wystawiony był twarzą odwróconą ku miastu, na którem jaśniały herby Krakowa, dla niemiłej pamięci złożenia go z tronu przez krakowian za sprawę Pelki biskupa. Obok Władysława Odonicza, ojca Bolesława Pobożnego, widziano obraz Helingi, księżniczki pomorskiej, jego małżonki. Szanowany i kochany od wszystkich książę kaliski zawsze z widocznem rozczuleniem na obrazy swych rodziców poglądał. Już nie żyjący brat jego starszy, Przemysław, książę poznański, i syn jego tegoż imienia wraz z żoną Ludgardą, kończyli szereg obrazów wielkopolskich książąt. Pomiędzy oknami znajdowały się wizerunki obcych a spokrewnionych monarchów. Obraz Beli IV, króla węgierskiego, a ojca Jolanty, równie jak skromna postać siostry jej Kunegundy, pobożnej Bolesława Wstydliwego małżonki, celowały nad inne. W dwu rogach izby, między oknami a drzwiami, stały ogromne szafy kredensowe z orzechowego drzewa, wykładane w rozmaite wzory bukszpanem, a w nich nie skąpa ilość mis i półmisków ze srebra, pozłocistych puharów, dzbanów mosiężnych, kuflów i roztruchanów. Stół był nakryty w podkowę.

Na niebieskich i w różne wzory wyrabianych obrusach poukładano rozmaitej wielkości słomiane prawdy [1]), te pod półmiski i misy, tamte pod puhary

[1]) Tak nazywano podstawy pod naczynia stołowe i do dziś jeszcze w powyższych okolicach utrzymuje się ta nazwa.

i dzbany. Stary Sulisław, który dla słabości Borzywoja sprawował razem urząd koniuszego i marszałka, kierował przezornie i bacznie zastawą, ażeby w żadnem miejscu nie było ani zanadto, ani też zamało jadła lub napoju. Długie, proste, lecz ochędożne ławy ciągnęły się wzdłuż stołu. Dwa tylko były krzesła wyplatane ze trzciny: jedno w środku stołu dla księcia, drugie naprzeciw dla księżnej. Na dwóch rogach, kończących podkowę, były miejsca dla podczaszego i dla marszałka. Pierwszy miał przed sobą dzbany zapasowego napoju, wina, miodu i piwa, drugi ogromne chleby i kilka mis pieczonego mięsiwa.

Gdy więc ujrzał Sulisław, że wszystko się na swojem miejscu znajduje, gdy zapalono w świecznikach świece, a w sieni kagańce, gdy służebni stanęli w rzędzie, oczekując na przybycie biesiadników i skinienia marszałka, wtem dzwon głośny, poruszony ostatniego ręką, dał znać książęciu i gościom, że wieczerza gotowa. Wszedł Bolesław z córkami i żoną, dwa jego ulubione ogary wcisnęły się za nim do jadalnej izby, pogłaskał pan dobry wierne zwierzęta i wskazał na drzwi do sieni. Posłuszne skinieniom władczej ręki, zajęły znowu swe miejsca przed ogniem.

Gdy się już wszyscy zebrali, odezwał się Bolesław:

— Przewielebny komendorze, jako zakonnik i rycerz, pobłogosław tej skromnej wieczerzy.

— Nie jestem dość biegły w polskim języku— odpowiedział Konrad de Tierberg — a wreszcie nie chciałbym nastawać na prawa miejscowego plebana.

— Więc po łacinie — rzekł książę, lecz gdy

krzyżak żadnej na to nie dawał odpowiedzi, wystąpił letni i poważny kapłan, któregośmy niedawno w kaplicy zamkowej widzieli, i zmówił głośno modlitwę zwyczajną przed jedzeniem, poczem wszyscy wskazane sobie miejsca zajęli.

— Dozwólcie, przewielebny komendorze—rzekł znów Bolesław do siadającego obok siebie gościa—aby wasz giermek zajmował odtąd wyższe miejsce przy naszym stole. Ród jego i dzielność, okazana na dzisiejszych łowach, godnym go czynią tego zaszczytu.

Stało się według woli książęcia, a Ziemomysł prosił usilnie kasztelana kaliskiego, aby Dytrychowi de Oldemburg przy nim usiąść pozwolił.

— Mniejsza o to—rzecze poważny Grzymała.—Wiem, o co chodzi. Niech miłościwy książę naszwargota się z nim dowoli. Łepski to chłopak i nielada myśliwy, szkoda tylko, że nic prawie po polsku nie umie.

— Wybaczcie, mili goście, skromności dzisiejszej wieczerzy—rzekł Bolesław—po łowach wszystko smakować powinno. Wreszcie nie godzi się nam w niczem uwłaczać uroczystości dnia jutrzejszego.

— Pod tym dachem — odpowiedział Konrad Mazowiecki — wszystko jest miłe, a goszczącym do woli gospodarskiej zawdy stosować się przystoi.

— Wasza przewielebność bardzo jest skromną w jedzeniu—odezwała się Jolanta do Konrada de Tierberg, który od początku wieczerzy do nikogo nie przemówił i słowa.

— Po znużeniu takiem, jakiegośmy dziś doświadczyli—odpowiedział na to—pożądańszy jest spo-

czynek niż jadło.—A wtem dostrzegłszy Sulisława—Wina, a wina dobrego!—zawołał.

— Przy dobrej woli każde jest dobre — odrzekł stary dworak, podsuwając ogromny puhar małmazyi.

— Za czyjeż zdrowie...—chciał przemówić Konrad de Tierberg.

— Dozwólcie — przerwał mu książę kaliski—ażeby zdrowia zachować na jutro.

— Do kogóż pić będę?—rzekł znowu niecierpliwie krzyżak.

— Piliśmy wszyscy do woli — odpowiedział jeden z mazowieckich książąt.

— Stary marszałku, czy tam starosto — zawołał komendor—kiedy nikt nie chce, więc do was...

Wtem usłyszano odgłos trąb na bramach.

— Tam oto piją do mnie — rzekł Sulisław.— Zapewne jaki gość nowy lub goniec, a że klucze od bramy zamkowej są przy nas, więc przebaczcie na teraz, przewielebny komendorze.

Wyszedł Sulisław i w niedługim czasie powrócił.

— Kogóż nam Bóg do tego przyprowadził zamku?—zapytał go Bolesław.

— Miłościwy książę—odpowiada starzec z widocznem pomieszaniem—to jest, o czem podobno zarówno wiemy obadwa.

— Więc ten przychodzień, który dawał znaki, że chce być puszczonym—przemówił Bolesław...

— Znajduje się istotnie w waszym zamku—rzecze Sulisław—i sam mu wskazałem przeznaczoną do noclegu komnatę, nic przeto jednak, kto on jest, powiedzieć nie mogę.

— Wasz marszałek, czyli koniuszy, wyśmienitym jest do zleceń tajemnych—odezwał się do Bolesława Konrad de Tierberg.

— Pragnąłbym, przewielebny panie, ażebyście byli na mojem miejscu—odrzekł Sulisław—a pewniebyście nie więcej donieśli książęciu.

— Ale jakże być może?—chciał dalej badać komendor.

— Sam to opowiem—przerwał Sulisław—jeżeli miłościwy książę pan mój rozkaże.

Skinął Bolesław, a starv Sulisław w ten sposób opowiadać począł:

— Gdym się zbliżał do bramy ze służebnym niosącym przedemną pochodnię, jużem zastał dowódcę straży z nieznajomym w rozmowie.

— Kto idzie?! — zawołał pierwszy głosem donośnym.

— Swój—odpowiedziano mu od fosy.

— Imię wasze, nazwisko, godność etc.?

— Polak i rycerz.

— Czegóż żądacie w tak spóźnionej porze?

— Gościnności.

— Wielu was domaga się wstępu do zamku?

— My i nasz giermek.

Złożyliśmy walną radę z dowódcą straży i odźwiernym, z której wynikło, ażeby spuścić mosty i przyjąć nieznajomego. Jechał przez bramę krokiem powolnym, a przybywszy na dziedziniec, zsiadł z konia. Chciałem mu zajrzeć w oczy i przy świetle pochodni ktoby był, rozeznać, ale cóż, kiedy miał spuszczoną przyłbicę, a tarczę, po której możnaby było rodu jego dociec, okrywał z bawolej skóry pokrowiec.

— Witam was—rzekłem—rycerzu, imieniem Bolesława, książęcia na Kaliszu. Czyjeż przybycie mam panu memu obwieścić?

— Jutro się o tem dowiecie.

— Jeżeli jutrzejsza uroczystość—rzeknę—sprowadza was w te mury, szkoda, że tak nierychło. Lepsze komnaty pozajmowali pierwej przybyli goście. Jest tylko jedna izba i to niebardzo chędoga.

— Wszystko nam zarówno, byleby pod dachem.

— Koń wasz, ile przy świetle pochodni rozeznać mogłem, godny jest książęcia, lękam się przeto.

— Nie troszczcie się o nic, staruszku, do jutra.

Wprowadziłem go do izby i rzekłem znowu:

— Oto jest wasze złożenie.

— Wybornie—odpowiedział i zamilkł.

— Książę nasz właśnie teraz wieczerza; możebyście się czem posilić raczyli.

— Dzięki książęciu, niegłodnym.

— Może wasz giermek?

— Dzielił on z nami i trudy i posiłek.

— Zdalekaż przybywacie do tego zamku?

— Niebardzo, jednakże potrzebujemy spoczynku, dobranoc wam, staruszku.

— Staruszku — pomyślałem sobie — lecz mniejsza o to.

— Cóż więc mam odnieść — odezwę się nakoniec—naszemu książęciu?

— Cześć jego wiekowi, dostojności i cnocie, głębokie uszanowanie księżnie Jolancie, pokłon pięknej Jadwidze.

Porachowawszy się z sobą, osądziłem, że odejść wypada.

— Wszystko to dobre i piękne — pomyślałem w duszy—ale zkąd on wie o tem, że nasza księżniczka jest...

— Sulisławie—przerwała Jolanta—dokończ nam twojej powieści.

— Miłościwa księżno — rzekł niezmieszany starzec—skończyłem.

— Ależ jakże wyglądał ten nieznajomy? — spytał książę kaliski.

— Jakie miał znaki rycerskie? — rzekł Bolesław mazowiecki.

— Jak był ubrany?—odezwała się ochmistrzyni.

— Czy młody? — zagadnęła z cicha Jadwiga i zarumieniła się.

— Wiek jego, jak z całej postawy dojść mogłem, trzyma pewnie środek między moim, nie bardzo jeszcze podeszłym, a wiekiem tego tam niemieckiego panięcia — odpowiedział Sulisław, wskazując na Dytrycha de Oldemburg.—Od stóp do głowy cały był zbroją okryty, na wierzchu zaś miał ciemną, a czerwoną materyą podszytą burkę. Ręka, gdy ją obnażył, okazywała krzepkość i siłę, a cała postawa wrażała głębokie uczczenie, chociaż wzrost jego tak jest mały, że zrazu wziąłem go za jakiego od nauk zbiegłego młodzieńca.

— Osobliwsze zdarzenie! — zawołał Bolesław.

— To musi być jaki paź mającego może w dniu jutrzejszym przybyć znakomitego książęcia — rzekł Konrad Mazowiecki.

— Albo wędrowny śpiewak, jakich są pełne Niemcy i Włochy, który nam jutrzejszą uroczystość uweseli—odezwała się Jolanta.

— Albo raczej jaki tajemny wysłaniec, przybyły na wywiady — rzekł sucho i mrukliwie komendor krzyżacki.—Gdyby mi wolno było dać wam, miłościwy książę, wierną poradę, natychmiastbyście go powinni z zamku waszego wypłoszyć. Znane są wszystkim te burzliwe i niespokojne czasy. W kraju, który ile miast i miasteczek, tylu panujących książąt policza, w kraju, w którym niema porządku, praw i jedności, a w którym mniemany monarcha tak jest słabym, że go nikt słuchać nie raczy, potrzeba się strzedz najmniejszego pozoru podejścia i zdrady.

— Inne jest nasze zdanie — odpowiedział z powagą książę kaliski. — Kraj nasz ma wielu oddzielnych książąt, ale wszyscy pomną, że z jednego szczepu pochodzą i że są Polakami. Mogą oni być niezgodnymi pomiędzy sobą, lecz gdy będzie chodziło o odparcie lub pogrom wspólnego nieprzyjaciela ojczyzny, znajdziecie ich zgodnymi i chętnie a dzielnie walczącymi pod jednymże znakiem. Cóżkolwiek rzec mogą postronni, szanujemy i czcimy wszyscy godność monarchy w osobie Bolesława, szczęśliwie nam panującego krakowskiego książęcia (w tem miejscu powstał nieco szanowny starzec i uchylił przed wizerunkiem monarchy sędziwą swą głowę). Przyjdą może te czasy — rzekł dalej — że rozdzielona na drobne księztwa Polska, znowu się sklei w jedno silne i potężne ciało, a wtenczas biada tym, którzyby się o nasze własności pokusić pragnęli. Co do nas, ułatwiliśmy szczęśliwie niektóre pomniejsze domowe zatargi. Są nam dość silni zewnętrzni nieprzyjaciele (myślał pewnie o Brandeburczykach, sprzymierzeńcach

Krzyżaków), ale przeciw tym Bóg ojców naszych i ta szabla wystarczy. Wreszcie zamek ten gotów do boju, rad być w pokoju; dla złych zawarty, dobrym otwarty, niech więc w nim nasz nieznajomy, małego wzrostu rycerz, spokojnie spoczywa. Teraz zaś, podziękowawszy Bogu za skromny posiłek, i my się do spoczynku udamy.

Wypróżniła się niebawem jadalna izba, a stary Sulisław krzątał się jak mógł, odprowadzając dość licznych gości.

Gdy przybył do komnaty przeznaczonej dla Konrada de Tierberg, odezwał się komendor:

— Dytrychu, odejdź na spoczynek, wy zaś, staruszku, zostańcie z nami na chwilę. Bracie służebny, podaj nam flaszę cypryjskiego wina.

— Cóż więc mówicie, zacny Sulisławie — rzekł, nalewając dwa kufle — o tym mrukliwym przybyszu? Ze wszystkiego, cośmy z ust waszych powzięli, wcale się nam nie podoba ten ptaszek. Za wasze zdrowie, zacny staruszku!

— Przewielebny rycerzu — odrzekł Sulisław, pijąc za zdrowie Konrada — zatrzymajcie zdanie wasze do jutra, aż zobaczymy i przekonamy się dokładnie, co to jest za jego miłość.

— Prawdziwie żal mi — prowadził dalej Krzyżak—waszego książęcia; poczciwe to, zacne, lecz lekkowierne panisko; a między nami, tak jak wszyscy wasi Piastowie, lada kto wywiedzie go w pole. Jak można przypuszczać do zamku w tym czasie nieznajomego włóczęgę? Zakon nasz i z powołania i z sąsiedztwa i z chrześciańskiej miłości radby czuwać

nad dobrem waszych książąt i książątek, gdy ci tak mało dbają o własne swe bezpieczeństwo i całość. Dlaczego, mając już cokolwiek poszlaku, ktoby to mógł być ów nieznajomy, radzibyśmy ochronić pana waszego od wszelkiej z nim spółki i styczności. Poczciwy, zacny i roztropny Sulisławie, wypijmy jeszcze po jednemu.

— Zadosyć, przewielebny komendorze, na mój wiek i powinność. Piliśmy przy wieczerzy nieskąpo, a potem jutro nam jaknajrychlej wstać wypada— rzecze Sulisław.

— Nie chcę was przynaglać—odpowiedział Krzyżak—lecz ja jeszcze raz za wasze zdrowie pić będę, a wy mi za to chciejcie wyświadczyć maluczką przysługę. Patrzcie, oto jest sakwa pełna złota. Tyle nam dała Opatrzność, że się snadno z uboższymi podzielić możemy. To złoto do was i do waszego rozporządzenia należeć będzie, bylebyście mi wyszukali z pomiędzy dworskich książęcia jakiego łebskiego, dowcipnego, a nie gadatliwego chłopaka, któryby dawał jak najpilniejsze baczenie na wszystkie kroki, mowy i sprawy tego nieznajomego mruka; któryby zabrawszy z nim i z jego giermkiem bliższą znajomość i robiąc im wszelkiego rodzaju przysługi, mógł nam dwa razy na dzień zdawać tajemną sprawę o wszystkiem, co tylko widzieć i słyszeć od niego potrafi. Ważna to jest sprawa i równie nas, jak i was dotyczy. Cóż wy na to, poczciwy staruszku?

Sulisław, wziąwszy sakwę ze złotem i ważąc ją długo w rękach, odpowiedział:

— Piękne złotko i niepośledniej wagi. Mogłoby się za jego wartość nabyć przynajmniej trzy łany

roli. Ale droższa jest nam nad wszystkie skarby poczciwość. Sulisław ani być szpiegiem, ani pomagać do szpiegostw nie umie. Dobranoc wam, przewielebny komendorze.

To mówiąc, rzucił na stół sakwę ze złotem i wyszedł.

— Nie masz co robić z temi twardemi polskiemi głowami—rzekł rozgniewany Konrad de Tierberg i udał się do spoczynku.

Od tej nieszczęsnej chwili, gdy Konrad książę mazowiecki, nie mogąc podołać sąsiedniej Prusaków dziczy, sprowadził z Włoch i Niemiec w 1225 roku Krzyżaków i za obietnicę pomocy wojennej przeciw niewiernym ziemię Chełmińską oddał w ich ręce, Polacy, miasto wsparcia i pobratymstwa, nowych i straszniejszych od dziczy kupili sobie nieprzyjaciół.

Zakon ten powstał w wojnach krzyżowych przeciw Saracenom toczonych i nosił z pierwiastów imię braci żołnierzy szpitala w Jeruzalem. Papieże potwierdzili ich ustawy i porównali je z ustawami zakonu Templarzy. Nosili oni habit czarny, a płaszcz biały z czarnym krzyżem. Wygnani z Syryi, przenieśli się do Włoch i Niemiec i w krótkim czasie, przez liczne jałmużny, równie jak przez mądre rozporządzenia wewnętrzne, wzbili się w bogactwa i sławę. Jak tylko ujrzeli dla siebie plon obfity na polskiej ziemi, przenosili się gromadnie z Niemiec, sprowadzając wiele rycerskiej młodzieży, która ich siły i nadzieje wzmagała. Objąwszy ziemię Chełmińską, budowali obronne zamki i miasta, tak czynnie krzątać się i gospodarować poczęli, że wkrótce do znacznej

przyszli potęgi. Wciskając się stopniowo w sprawy domowe Polski, z każdej z nich korzystać umieli. Rozdrobnienie polskich księztw i książąt, skutek nieszczęśliwego podziału państwa przez Krzywoustego, otworzyło im drogę do intryg. Waśnili jednych z drugimi: na tych podburzali Prusaków, na tamtych Litwę lub Brandeburczyków. Pierwszy Władysław Łokietek odkrył Polszcze i chrześciaństwu całemu ich chciwość i dumę, wraz z nienasyconem krwi i bogactw łakomstwem, dlatego od pierwiastkowej młodości cierpieć go nie mogli. Zobaczymy, ile zniósł od nich i jakie toczyć z nimi musiał zapasy. Umowy i przymierza póty ich tylko wiązały, póki były korzystnemi dla ich zakonu. Religia nawet, której płaszczem osłaniali swe sprawy, gdy się sprzeciwiała ich celom, nie była zdolną powściągnąć w nich chciwości władzy i bogactw, a nawet krwi chrześciańskiej przelewu. Wiadomo z dziejów, że podniósłszy oręż w pierwszej połowie trzynastego wieku przeciw swym dobroczyńcom Polakom, gorzej od pogan i dziczy niszczyli w Wielkiej Polsce wsie budowne i zamożne miasta; a gdy Sieradza pod wodzę Hermana, komendora elbląskiego, dostali i rozpostarli miecz krwawy nad nieszczęśliwem miastem, przełożony tamecznych Dominikanów, dawny znajomy i przyjaciel Hermana, zaklinał go na litość chrześciańską i skromność zakonną, aby się od łupieztwa i przelewu krwi niewinnej powściągnął.—*Ne spresť*, to jest, nie rozumiem, odpowiedział mu mnich dumny w barbarzyńskim prusaków języku; a złupiwszy kościół ze wszystkich ozdób, mnichy i ich czeladź do koszul obedrzeć rozkazał. Każdy zjazd panów polskich, każde zebranię

się książąt z krwi Piasta nie mogło się obejść bez ich uczestnictwa, albo tajemnych przeszpiegów. W tym celu wyprawiony był Konrad de Tierberg do Kalisza, gdy się rozeszła wiadomość, że Bolesław wielu książąt i panów na obchód urodzin swej córki zaprosił.

ROZDZIAŁ III.

Turnieje.

Zaledwie pierwsze słońca promienie oświetliły nazajutrz szczyty kaliskiego zamku, gdy Bolesław, przybrany w karmazynową bogatą ferezyę i w żupan z lamy srebrnej, przypasawszy do boku suto kamieniami wysadzaną szablę, w kołpaku sobolim na głowie, wszedł do sypialni swych córek. Widok książęcia w tem miejscu był nadzwyczajnem zjawiskiem. Jakkolwiek Bolesław kochał swe dzieci i był dla nich wylanym, przecież, obyczajem tamtego wieku, rzadko je widywał, zdając całą pieczołowitość około córek na matkę, a raz tylko w życiu, z powodu ciężkiej choroby Jadwigi, widziano go w tej części zamku, która była przeznaczoną dla niewiast. Już były zupełnie ubrane księżniczki, a ich ochmistrzyni kończyła trefić swe włosy przed zwierciadłem ze stali.

— Ach dla Boga, cóż się to stało, miłościwy książę!—rzekła, porywając się w zmieszaniu ze stolka i zapomniawszy zupełnie, że jej świąteczna szata nie była spięta pod szyją.

— Nic to, nic, dobra Eufrozyno — odpowiedział

Bolesław—nie miejcie żadnej złej myśli, tak jak my jej mieć nie chcemy, i zostawcie nas samych z Jadwigą. Otóż i jej miłość księżna, nasza małżonka.

Jadwiga ucałowała ręce rodziców, którzy, gdy zasiedli, Bolesław książę kaliski do stojącej przy sobie córki począł mówić w te słowa:

— Droga dziewko nasza, Jadwigo! Przyszliśmy ci powinszować rocznicy dnia tego, w którym Bóg litościwy pobłogosławił nasz związek przyszłą dla nas z ciebie i z cnót twoich pociechą. Gdy nam Opatrzność nie dozwoliła upragnionego z płci męzkiej potomka; gdy księztwo nasze, zamki i włości, podług umów rodzinnych, przejść mają w ręce Przemysława, poznańskiego książęcia, a naszego ukochanego bratanka, tem tylko strapione serce i dogorywające lata krzepimy, że przy gladkości ciała, Bóg dobrotliwy pięknym cię umysłem i szlachetną duszą obdarzył. Wiesz i poznajesz już w tym wieku, jakich starań dołożyliśmy oboje, aby cię w bogobojności i w cnotach płci twojej przyzwoitych wychować. Mając taki wzór przed oczyma, jaki ci wystawia twa matka, a druga życia naszego połowa, snadno ci było postępować na drodze pierwiastkowej młodości, samem tylko kwieciem usłanej. Lecz przyszedł czas, gdzie obok róż wonnych napotkasz i ciernie. Ażeby cię te jak najmniej w życiu raziły; ażebyś znieść mogła cierpliwie i bogobojnie dolegliwe ich kolce, wraź głęboko w twą pamięć te krótkie przestrogi i rady, któremi cię, miasto drogich upominków, w dzień ten uroczysty obdarzyć pragniemy. Wstępujesz w rok wieku twego szesnasty. Dotąd znaliśmy cię powolną na wszystkie nasze skinienia, łagodną, litościwą,

pobożną. Odtąd nowy zawód pocznie się dla ciebie. Dziś jeszcze ujrzysz kilku książąt i rycerzy, kruszących kopie na cześć twoją i ubiegających się do miłej z rąk twoich nagrody. Jeśli usłyszysz jakie pochlebne słówko, jaki wyraz, który się do dziś dnia nie obił o twoje ucho, niech to zbytecznie serca twego nie łechce. Uroda jest darem niebios. Cnota tylko i zastosowanie jej do wszelkich przygód żywota od nas samych zależy. Przyjdzie może niezadługo ta chwila, gdy z przeznaczenia płci twojej zostać możesz małżonką i matką. Wtedy się to rozwinie dla ciebie całe pasmo obowiązków i trudów, którym tylko podołać może niewiasta, co wszystkie swe sprawy odnosi do Boga i co nieufna słabym swym siłom, szuka zawsze rady i pomocy w męzkim umyśle i doświadczeniu małżonka. Pomnisz może tę chwilę, gdy nam przed ośmiu laty Bóg nadarzył owego pobożnego i sędziwego pielgrzyma i gdy, wracając z wędrówki do Rzymu i Ziemi Świętej odbytej, zamek ten nawiedził. Ujęci jego bogobojnością, doświadczeniem i światłem, chcieliśmy, aby z trudów długiej podróży w tych murach wypoczął. Nie przystał na to dla ślubów, jakie uczynił. Lecz gdy na odejściu w dalszą drogę prosiliśmy go, aby dom nasz i dziatki pobłogosławić raczył, widząc cię roztropną, potulną i bogobojną, wyrzekł jakby duchem proroczym: Ta dziewczeczka będzie kiedyś królową. Siostra twa, Elżbieta, jeszcze wtedy była w powiciu, a Hanną później nas obdarzyła Opatrzność. Odszedł mąż święty i więcej do nas nie wrócił, chociaż jest słuch, że gdzieś w górach krakowskich pustelnicze życie prowadzi. Nie przypuszczamy tego, ażeby się godziło ludziom czy-

tać w przyszłości, która tylko Bogu jednemu wiadoma. Przecież słowa tego letniego pielgrzyma zawsze tkwią w naszej pamięci. Któż wie, czyli Bóg przez usta jego nie zesłał dla nas wskazówki, za którą pójść powinniśmy w obraniu dla ciebie postanowienia. Z kolei losów naszej rodziny niby to nadzwyczajnego nie było. Matka twoja jest córką królewską, a ród nasz od kilku wieków w znakomitych przodkach tylu królów i panujących książąt policza. Wprawdzie kraj nasz, przez rozdział monarchii na drobne księztwa, królem się nie szczyci, lecz wszystko jest w ręku Boga. On równie losy narodów, jak i przeznaczenia najlichszego człowieka w mocy zwojej piastuje. My tylko żebrzemy o tę łaskę codziennie, aby nam Opatrzność dozwoliła jeszcze za dni naszych widzieć cię uczciwie postanowioną, spokojną, szczęśliwą.

Łza poniewolna puściła się z oczu poważnego i rozrzewnionego książęcia.

Poruszona do gruntu duszy Jadwiga, u nóg ojcowskich wynurzała swą wdzięczność i uszanowanie dla przestróg zbawiennych, których była przedmiotem. Uściskała następnie kolana swej matki, która, pomimo całą spokojność umysłu, jaką we wszystkich zachowywała przygodach, tym razem od łez wstrzymać się nie mogła.

Tymczasem roznoszono po zamku kaliskim dla goszczących i całego dworu ranne posiłki. Wszyscy sposobili się do wystąpienia chędogo i ozdobnie na blizkie turnieje.

Konrad de Tierberg, spostrzegłszy Dytrycha sta-

ranniej nadzwyczaj ubranego, a przytem widząc głęboki smutek na twarzy jego wyryty:

— Cóż ci to, miły chłopcze — zapyta — czy cię wczorajsze łowy tak utrudziły, że dziś jak zdjęty z krzyża wyglądasz? Mylę się, albo ta nieszpetna księżniczka jednem spojrzeniem srożej z tobą od owego wczorajszego odyńca poczęła?

— Nie chciej dworować, przewielebny panie — odpowiedział smutnym głosem Dytrych — z biednego i niedoświadczonego młodzieńca, którego jednem życzeniem i celem jest pozyskanie sławy, pragnąłbym za waszem dozwoleniem stanąć dziś w szrankach z tymi polskimi rycerzami i książęty. Ale nie będąc dotąd pasowanym na godność rycerską i czując, że mi zbywa na prawie i siłach...

— Więc moje domysły — przerwał komendor — nie są, jak widzę, płonnemi, ale nabierz odwagi i siły, chociaż już wziąłeś na się znak krzyża, dotąd jeszcze nie wykonaleś ślubów zakonnych. Zacni twoi rodzice, poruczając naszemu staraniu twój wiek niedoświadczony i dalsze losy, zostawili nam wszystkie środki ku temu. Pozwalamy ci stanąć w szrankach na dzisiejszych turniejach. Równy co do rodu, a wyższy może wykształceniem od tych tam drobnych książątek, możesz za naszą pomocą dziś jeszcze dostąpić rycerskiego zaszczytu. Zdaj się w tej mierze na nas zupełnie. Wreszcie wszystko może pójść po myśli, jeśli tylko z czasu i okoliczności zręcznie korzystać będziemy. Lecz oto dzwony kościelne wzywają nas znowu do modlitwy. Dla przykładu, który z powołania naszego innym winniśmy, śpieszmy do świątyni, abyśmy tam ostatnimi nie byli.

Uprzedził Bolesław Pobożny wszystkich goszczących w swym zamku stawieniem się u podwojów kaliskiego kościoła, wzniesionego na cześć Pawła Świętego przez Mieczysława Starego, jego naddziada, który tam zwłoki swoje złożyć rozkazał. Jolanta z córkami zaraz po Bolesławie przybyła. Jechali potem oddzielnie panowie i książęta, których dzień ten do Kalisza sprowadził. Pośpieszył z innymi nieznajomymi nasz rycerz. Wystąpiwszy dość świetnie na dzielnym rumaku, lecz zawsze ze spuszczoną przyłbicą, i wszedłszy do świątyni, wszystkich oczy zwrócił na siebie.

Nie był wistocie płonnym sąd o nim Sulisława starego. Pomimo małego wzrostu, postać jego miała w sobie coś ujmującego i szlachetnego, a Konrad de Tierberg, zmierzywszy go od stóp do głowy swym wzrokiem sokolim, przygryzł wargi ze zmartwienia, że dotąd nic o jego rodzie i zamiarach nie wiedział.

Ledwie się msza uroczysta skończyła; ledwie ucichły pobożne kapłanów pienia, już wszyscy z nieprzeliczonym tłumem ludu na podwórza zamkowe spieszyli.

Za skrzydłem zachodniem kaliskiego zamku był plac obszerny, urządzony do rycerskich ćwiczeń i ujeżdżania rumaków. Dwa do niego prowadziły przystępy: jeden od miasta przez most powtórny, a drugi od dziedzińca, na którym stała kaplica, przez bramę sklepioną. Za tym ostatnim postawiono trzy namioty dla wyzywających rycerzy; przez pierwszy zaś zbliżać się mieli ku szrankom ci wszyscy, którzy walczyć z nimi pragnęli. Po lewej stronie placu, na wyniesieniu trzech stopni, ustawiono trzy stolki kobiercami

pokryte dla sędziów i rozjemców turniejów, którymi na ten dzień wybrani zostali: Bolesław, książę kaliski, z władzą zatrzymania walki, gdyby ta przeszła igrzysk obręby, Konrad de Tierberg, komendor malborski, i Przedpełko, wojewoda poznański. Przed nimi złożone zostały na stole, szkarłatnem suknem okrytym, przeznaczone dla zwycięzców nagrody.

W małej odległości od tego miejsca wznosił się krużganek z drzewa; na nim księżna kaliska z córkami i przedniejszemi paniami miejsce zajęła. Lud ciekawy, nie mogąc się pomieścić na przeznaczonym dla siebie placu, dachy krużganku i przyległych gmachów zapełnił. Od strony miasta silne szranki z dębowego drzewa plac zapasów zamknęły.

Dwoje wrot prowadzić tam miało ochoczych do walki rycerzy. Przy każdych stało po dwóch woźnych, mających blachy srebrne na piersiach z herbami kaliskiego książęcia. — Marszałkowie turniejów stali przy szrankach między wrotami, z białemi włóczniami w ręku, bacznie przestrzegając porządku.

Gdy już widzowie i rozjemcy miejsca swoje zajęli, ogłoszono cel turnieju, przepisy i imiona dwóch wyzywających rycerzy. Pierwszym był Konrad książę mazowiecki, drugim Mikołaj Zaręba, zacny i w sprawach rycerskich dobrze ćwiczony młodzieniec. Za trzeciego chciał się podać Bolesław, książę mazowiecki, Lecz gdy Bolesław kaliski przystać na to nie mógł, ażeby między trzema wyzywającymi dwóch znajdowało się braci, wtedy Konrad de Tierberg odezwał się w te słowa:

— Miłościwy książe! Giermek nasz Dytrych, hrabia z Oldemburga, młodzieniec z zacnej i w całych

Niemczech wsławionej rodziny, gotów byłby stanąć w rzędzie wyzywających, gdyby już był pasowanym na dostojność rycerza, na co oddawna zasłużył. Jeśli więc dozwolić raczycie, abym przed rozpoczęciem turniejów dopełnić mógł tego świętego dla nas obrzędu...

— Ja sam — odpowiedział książę kaliski—rzecz tę biorę na siebie i jeśli się nikt z przytomnych nie sprzeciwi, życzeń szlachetnego młodzieńca, jako gospodarz, rycerz i panujący książę dopełnię.

Skinął Bolesław na marszałków i woźnych, a gdy ci całe zgromadzenie do cichości przywiedli, jeden z woźnych, odebrawszy stosowne rozkazy, donośnym głosem zawołał:

„Dytrych hrabia na Oldemburgu, z krwi zacnej młodzieniec, zapisany w liczbę przystępujących do sławnego zakonu braci żołnierzy szpitala w Jeruzalem, pragnie być pasowanym na rycerza przez sławnego i potężnego Bolesława, syna Władysława wielkopolskiego, książęcia pana i dziedzica na Kaliszu i Gnieźnie. Ktokolwiek ma jaki zarzut przeciw jego czci i postępkom, niech aj tę rękawicę podniesie.“

To mówiąc, cisnął na środek placu zdjętą rękawicę z lewej ręki Dytrycha.

Gdy za trzykrotnem powtórzeniem tych wyrazów, nikt się z miejsca swego nie ruszał, zawołał Bolesław kaliski:

— Przystąp do tronu naszego, zacny młodzieńcze, abyśmy spełnili na tobie to, czego wymagają zwyczaje rycerskie i prawa.

Wtedy Dytrych de Oldemburg, prowadzony przez Henryka lignickiego i Ziemomysła kujawskiego książęcia, jako ojców i nauczycieli pierwszych kroków ry-

cerstwa, zbliżył się do Bolesława z odkrytą głową, bez ostróg, rękawic i miecza i ukląkł na prawe kolano.

— Dytrychu de Oldemburg! w imieniu całego chrześciańskiego rycerstwa — rzekł książe, dotykając po trzykroć nagim orężem ramienia młodzieńca — pasuję cię na godność rycerza. Przyjmij ten łańcuch i te złote ostrogi, które dostojność twoją od innych odznaczać będą, a które masz bez skazy zanieść do grobu. Przypasz ten oręż do twego boku i pomnij, że go jedynie dobyć możesz na obronę świętej wiary naszej, uciśnionej niewinności i czci twojej rycerskiej. Przywdziej tę rękawicę, a ile ci razy rzucić ją przed oblicze innego rycerza wypadnie, poradź się wprzódy dobrze serca i sumienia twojego, ażebyś jednym krokiem płochości lub fałszywie rozjątrzonej dumy nie zmazał wszystkich twych zasług, położonych w rycerstwie. Lecz ilekroć rzuci kto takową przed ciebie, podnieś ją bez trwogi i uczyń zadość obowiązkom prawego rycerza. Przysięgasz-li być wiernym tym świętym prawidłom?

— Przysięgam — odpowiedział wzruszonym głosem młodzieniec, a powstawszy z miejsca swojego, oddał głęboki pokłon książęciu i całemu rycerstwu, poczem przez ojców tego obrzędu uściskanym został. Podano mu hełm, tarczę i kopię, a gdy następnie dosiadł przywiedzionego za szranki rumaka, objechał po trzykroć przy odgłosie trąb i kotłów całe zgromadzenie, zdziwiony zręcznością i wdziękiem, które mu w toczeniu koniem towarzyszyły, i wjechał do jednego z namiotów, przeznaczonych dla wyzywających rycerzy. Po krótkiej chwili wszyscy trzej uzbrojeni

od stóp do głowy przed namiotami swemi na placu turniejów stanęli.

Mnóstwo rycerzy, których imiona woźni ogłaszali powszechności [1]), wjeżdżało koleją za szranki przez dotknięcie drzewcem od kopii tarczy jednego z wyzywających, powoływali ich do okazania swej zręczności lub siły. Wiele czynów rzadkiej odwagi i biegłości w sztuce rycerskiej odznaczały od innych huczne widzów oklaski, trąb i kotłów odgłosy. Lecz od godziny przeszło, jak się rozpoczęły turnieje, nikt nie był tak szczęśliwym lub zręcznym, aby którego z wyzywających rycerzy pokonał. Ziemomysł, książę kujawski, zaledwie dotknął tarczy Zaręby, i na plac z nim wyjechał, w okamgnieniu zsadzony z konia, przyznał przeciwnikowi swojemu zwycięztwo. Nie większą miał trudność Konrad Mazowiecki w pokonaniu Henryka Tłustego, który koniecznie chciał w dniu tym wsławić się jakim rycerskim zaszczytem. Zajęty jeszcze myślami dostąpienia ręki pięknej Jadwigi, wszelkiego dołożył starania do wydania się zwinnym i wysmukłym, pomimo przyrodzoną otyłość, z którą się rzadko zręczność kojarzy. Gdy runął z wyniosłego rumaka, wszyscy przytomni, prócz ochmistrzyni księżniczek, u której był w widocznem i niepoślednem poważaniu, ledwie od śmiechu powściągnąć się zdołali.

Najzaciętszą była walka Dytrycha de Oldemburg z Bolesławem, mazowieckim książęciem. Za pierwszem natarciem oba ujrzeli potrzaskane swe kopie na drobne kawałki. Cofnęli się zręcznie obadwa i chcieli się

[1]) Publiczności.

porwać do szabel. Lecz gdy ten rodzaj walki więcej przedstawiał niebezpieczeństwa i gdy Bolesław wyzwał jedynie Dytrycha do spotkania na lekko, dotykając się tarczy jego drzewcem, nie zaś żelezcem, rozbroili ich marszałkowie turniejów. Podano im nowe kopie. Ale zaledwie przypuścili do siebie w całym pędzie konie, pękły znowu obiedwie, nie mogąc wytrzymać natarczywości ciosu i silnego zbroi odporu. Wszelako ta Dytrychowi nad Bolesławem została przewaga, że gdy drugiego kopia skruszyła się we środku, pierwszego przy samem żelezcu ułamaną została. Upędzał się długo Dytrych za swym przeciwnikiem, broniącym się nadzwyczaj zręcznie resztą ułamanego drzewca, i gdy już prawie o zupełnem zwycięztwie rozpaczał, tak silny cios wymierzył w lewy bok znużonego przeciwnika, że ten, ruszony z siedzenia, lubo się utrzymał na koniu, jednak do strzemion trafić nie zdołał.

— Dość na tem!—zawołali marszałkowie i Dytrychowi przysądzili zwycięztwo.

Po krótkim odpoczynku, przyznanym dla rycerzy i koni, stali wyzywający nieporuszenie przy swych namiotach i woźni po dwakroć wzywali napróżno ochoczych do walki rycerzy. Już się szmer głuchy po wszystkich miejscach rozlegał; już się pytano nawzajem: nikt-że to z Polaków nie będzie dość śmiałym, aby się potkał z tym młodym niemczykiem i wydarł mu zwycięztwa zaszczyty? gdy nieznajomy nasz rycerz, który dotąd spokojnie na wszystko poglądał, dosiadłszy swego rumaka i porwawszy od giermka kopię i tarczę, zjawił się nagle przy wrotach prowadzących do szranki.

— Kto jesteś i po co tu przybywasz? — zawołał jeden z woźnych.

— Polak jestem i rycerz — odpowiedział śmiałym głosem.—Przychodzę walczyć w zawartych szrankach na cześć pięknej Jadwigi.

— Imię twe, stan i urodzenie? — zapyta woźny.

— Jeśli wyjdę zwycięzcą — rzekł nieznajomy— chętnie to wszystko odkryję, jeżeli ulegnę, na cóż wam ta wiadomość przydatną być może?

— Rycerzu lub ktokolwiek jesteś — odezwał się Konrad de Tierberg — wiedz o tem, że ci książęta i znani młodzieńcy z równymi sobie walczyć mogą jedynie. Jeśli więc nie odkryjesz twego imienia i stanu, surowe prawa turniejów zniewolą nas do oddalenia cię od szranek.

— Jeżeli takie są prawa turniejów — odpowie na to — ja im się chętnie poddaję. Wszelako dodać tu muszę, że imię moje, stan i dostojeństwo samemu tylko Bolesławowi, książęciu na Kaliszu, odkryję.

— Niech i tak będzie — zawołał Bolesław.

— Oto są nasze dowody — rzekł nieznajomy, oddając jednemu z marszałków pisma w trąbkę zwinięte.—Zanieście je panu waszemu, a ten osądzi, czy jesteśmy godni do wstąpienia w te szranki.

Z widoczną radością przeglądał Bolesław podane sobie pisma. Nareszcie rzekł głosem donośnym:

— Na słowo nasze książęce zaręczam wszystkich obecnych, iż rycerz ten, którego przed szrankami widzicie, godnym jest i wielce godnym do mierzenia się w zawartem polu z najpierwszymi książęty. Dozwalam mu przeto walczyć bez podniesienia przyłbicy przed walką.

Nie był do smaku ten wyrok komendorowi, a rycerz nasz, nie mając już żadnej przeszkody, poskoczył śmiało w otwarte szranki, oddawszy wprzód pokłon książęciu, obecnym niewiastom i całemu zebraniu. Wtedy dopiero ujrzano go dokładnie całego w połyskującej i świetnej zbroi. Złote ostrogi i bogata rękojeść oręża mniej uderzały niż tarcza cała z gładzonej i złotem nabijanej stali. Miała we środku orła białego w polu czerwonem, herb Piastów. Lecz taka jej była sztuczna robota, że orzeł ten patrzącym prosto naprzeciw całym się wydawał, z boków zaś okazywał się pokrajany na sztuki. Godło w około tarczy było następne: „Jeden lub żaden.“

Gdy nieznajomy rycerz na środek zawartego pola wyjechał, wstrzymał cokolwiek swego rumaka, jak gdyby się chciał namyśleć z blizka, którego z wyzywających rycerzy najprzód do walki powoła. Lecz wkrótce zniżywszy kopię przed Konradem księciem mazowieckim na znak uszanowania i uchyliwszy z lekka głowy przed Zarębą, jak gdyby przemawiał: znam was rycerzu, przystąpił do Dytrycha de Oldemburg i dotknął jego tarczy równie drzewcem, jak i żelezcem swej kopii, dając mu przez to do wyboru, walkę na lekko lub walkę śmiertelną.

Dumny młodzieniec z odniesionych dotąd zaszczytów wyskoczył na środek pola z obróconą żelezcem ku nieznajomemu kopią, chcąc dać do zrozumienia, że walkę śmiertelną nad lekką przenosi.

Gdy oba przeciwnicy naprzeciw siebie stanęli, zadrżało całe zebranie, zważając nierówność sił i wzrostu walczących. Dytrych był w samym kwiecie wieku i wysmukłej kibici, a wyniosłość rumaka, z któ-

rego miał walczyć, nadawała mu postać młodego olbrzyma. Drobny wzrost nieznajomego rycerza bardziej jeszcze od sążnistej postaci pierwszego odbijał. Zręczność wszelako poruszeń i zwinność lekkiego polskiego konia łagodziła obawę przegranej. Wszystkich życzenia i serca do słabszej na pozór przywiązały się strony.

Już się oba bystrem zmierzyli spojrzeniem; już trzykroć w całym pędzie nacierając na siebie i trzykroć cofając w tył swe konie, przekonać zdołali widzów, jak równie zręcznymi obadwa byli jeźdźcami, gdy Dytrych de Oldemburg, poskoczywszy piorunem ku swemu przeciwnikowi, tak silny mu cios zadał w lewe ramię, że się zdawało, jakby drzewo jakie z pnia swego obalone runęło. Jakże się zdziwiono, ujrzawszy nieznajomego rycerza w tej chwili, gdy go pokonanym mniemano, tak silnym razem uderzającego w przyłbicę swojego przeciwnika, że się żelazo kopii jego skruszyło. Pewny niedawno zwycięztwa Dytrych, widząc, że nieznajomy rycerz w toż samo miejsce drzewcem go ugodzić myślał, chcąc się niejako uchylić od grożącego mu ciosu, postradał równowagę i ledwie z konia nie zleciał. Uprzedził atoli swą hańbę, uskoczywszy na bok i stanąwszy w całości na placu. Odrzucił Dytrych resztę skruszonej swej kopii i dobył szabli bez zwłoki. Nieznajomy rycerz w tej samej chwili zeskoczył z konia z dobytym orężem. Rozpoczęła się walka piesza na szable, najzaciętsza, jaką dotąd może w zawartych szrankach widziano. Co tylko zręczność i siła wydołać mogła, wszystkie obie strony użyły. Jęczały ich zbroje pod tęgością i liczbą ciosów, sypały się

za każdym rzęsiste iskry z przyłbic i szabel. Już nawet z pod zbroi krew się widzieć dawała. Raz siła nad męztwem, drugi raz zręczność brała górę nad siłą. Ujrzano nakoniec, że Dytrych bądź z długiej walki, bądź też z osłabienia od wziętych razów, widocznie chwiać się poczynał. Korzystał z tego przeciwnik i kto wie, na czemby się walka skończyła, gdyby Bolesław kaliski nie rzucił swego buzdygana na środek placu zapasów, co było znakiem do zakończenia walki i rozbrojenia walczących. Skoczyli pomiędzy nich marszałkowie turniejów z białemi włóczniami w ręku, a Dytrych de Oldemburg, zachwiany z niedostatku sił i bólu, już, już upadał na piasek, gdy go zręcznie utkwiony w ziemię oręż, na którym się oparł, uwolnił od tej ostatniej hańby. Nie przeto jednak zwycięztwu swego przeciwnika zaprzeczył.

Zagrzmiały natychmiast trąby i kotły, ogłaszając tryumf nieznajomego rycerza, co tak rozjątrzyło gniewliwy umysł Konrada de Tierberg, że zerwawszy się z sędziowskiego miejsca i dobywszy oręża, zawołał:

— Pozwól nam, miłościwy książę, abyśmy, się za naszego giermka pomścili i nauczyli tego nieznajomego.

— Na inny czas — rzekł mu na to Bolesław— nie godzi się być razem i sędzią i stroną.

— Zręczności i sile twego konia, nie ręki, winieneś zwycięztwo — odezwał się do nieznajomego Dytrych — radbym bardzo spotkać się z tobą na czele dobrze i po naszemu uzkrojonego hufca.

— Przyjmuję wyzwanie—odrzekł nieznajomy— i przewiduję, że nam nieraz tak z wami spotkać się wypadnie.

— Kto jesteś — zawołał Konrad de Tierberg— że się tak zuchwale do walk na czele hufców odwoływać zdajesz?

— Jestem Władysław—rzekł nieznajomy, uchylając zasłonę przyłbicy — książę na Brześciu Kujawskim, synowiec polskiego monarchy, a brat następcy tronu, wasz blizki sąsiad, a nie chciej, abym dodał: wróg.

W tej chwili wszystkie krużganki i miejsca głośnym okrzykiem zabrzmiały: Niech żyje Władysław książę kujawski i zwycięzca niech żyje!

Nawet Ziemomysł, jakkolwiek był dotknięty do żywego przegraną swego przyjaciela, Dytrycha, nie mógł powściągnąć swej radości, widząc brata zwycięzcą.

— Sędziowie i rozjemcy dzisiejszego turnieju — zawołał Bolesław — jesteście równego ze mną zdania, że Władysław, książę na Brześciu Kujawskim, na pierwszą zasłużył nagrodę?

— Jesteśmy — odpowiedział sędziwy Przedpełko. Konrad de Tierberg milczeniem ten wyrok zatwierdzać się zdawał.

— Drugą nagrodę — rzecze znowu Bolesław — przysądzamy Mikołajowi Zarębie: walczył po trzykroć i żaden przeciwnik nie zdołał ruszyć go ze strzemienia.

— Zgoda — rzekł znowu wojewoda poznański.

— Lubo trzeciej nagrody nie postanowiliśmy wcale — prowadził dalej książę kaliski — przecież

dozwolicie mi zacni rycerze i koledzy, abym nią ze szczególnych względów obdarzył jednego z tych, którzy byli mniej szczęśliwymi na dzisiejszym turnieju, a któremu słusznie należy się sława waleczności i męztwa. Córko nasza Jadwigo! stań pomiędzy nami i chciej skinień naszych dopełnić podług zwyczajów i prawa.

Zeszła Jadwiga, prowadzona przez dwóch marszałków, i stanęła blizko ojcowskiego siedzenia. Jej uroda i świetny ubiór, a nadewszystko jej skromność, połączona z wyrazem słodyczy i radości na twarzy, powszechne wzbudzały oklaski. Rzuciwszy wzrok na rycerzy, którzy dzień ten uświetnili swemi czynami, spotkała oczy Władysława i twarz jej okryła się żywszym nieco rumieńcem. Stanął jej w umyśle obraz tego rycerza, przez Sulisława skreślony. Cóżby rzekł, pomyślała w sobie, gdyby widział tę twarz ujmującą, te rysy szlachetne, które w sobie coś pociągającego zdają się zawierać?

— Przystąp Władysławie, książę brzeski kujawski — zawołał głosem donośnym Bolesław i przyjmij z rąk córki naszej Jadwigi ten oręż, który od Mieczysława Starego naszą zbrojownię zaszczycał.

Wtedy Jadwiga, przywiązawszy podaną szablę do szerokiej wstęgi błękitnej, włożyła ją na ramiona Władysława, który do tego obrzędu przyklął na prawe kolano.

— Oręż ten — zawołał uniesiony młodzieniec — dotąd nie spocznie w pochwach, dopóki Bóg sprawiedliwy nie raczy przywrócić dawnej świetności ukochanej naszej ojczyźnie i póki rozerwane jej części w jedno potężne nie skleją się ciało. Kolor tej

wstęgi będzie odtąd świętym dla nas kolorem, a jeśli Nieba wesprą czysto nasze zamiary, przysięgam ci, piękna Jadwigo, iż widok podobnej wstęgi na ramieniu prawego Polaka obudzi szlachetną pychę w sercach tych, którzy nią ozdobić się zapragną — dla ozdobionych cześć i uszanowanie u świata [1]).

Mikołaj Zaręba odebrał następnie z rąk Jadwigi drugą nagrodę w pozłocistym i ozdobionym dawnemi medalami pucharze. Nóż myśliwski z rękojeścią drogiemi wysadzaną kamieńmi podała Jadwiga Dytrychowi de Oldemburg z natchnienia ojca, który tym darem chciał mu osłodzić boleść przegranej w chwili pewności zwycięztwa. Odgłos trąb i oklask powszechny zakończył turnieje, poczem wszyscy udali się na zamkowe pokoje.

Długą i świetną była uczta, wyprawiona dnia tego. Władysław, jako pierwszy zwycięzca, posadzony naprzeciw kaliskiego książęcia pomiędzy Jolantą a piękną Jadwigą, miał sposobność okazania swego rozsądku i dowcipu przed oczyma matki, czułości i uprzejmości dla córki.

Ostro brzmiało każde słowo z ust jego dla Konrada de Tierberg. Dytrych zawistnem okiem na jego szczęście poglądał. Te uczucia możeby w innym czasie dały pochop do nieprzyjemnych wypadków, lecz w zgiełku wesołości powszechnej, w mnóstwie ucinków i powieści, wcale uważanemi nie były.

Zapytany Władysław przez Jadwigę o znacze-

---

[1]) Podług niektórych, Władysław Łokietek pierwszy miał ustanowić order Orła Białego.

nie godła, które na swej tarczy położył, odpowiedział ze skromnością:

— To godło jest celem wszystkich życzeń serca mojego nie dla siebie, lecz dla najmilszej ojczyzny. Niech jeden jej losami włada lub żaden.

— Zgadzam się z wami — rzekła na to Jadwiga — i gdybym była mężem, pewniebym to samo godło przybrała.

Już od dwóch godzin dzień ustąpił swej władzy nocy; już przy kończących się stołach mówiono o spędzeniu reszty wieczora na wesołej ochocie, gdy przybył goniec od Mestwina, pomorskiego książęcia, który oddanemi pismami w ręce kaliskiego książęcia przerwał i zawiesił na chwilę huczną wesołość dnia tego.

ROZDZIAŁ IV.

Przygotowanie do wojny.

Ile razy wypada mówić o klęskach, dręczących Polskę w dwunastym i trzynastym wieku, tyle razy stawa na myśli z boleścią rozdział monarchy, spełniony pod następcami Krzywoustego. Rzućmy zasłonę na to, co niema koniecznego związku z naszym przedmiotem, a przejdźmy do zatargów, jakie szarpały Wielkopolskę i Pomorze z powodu Brandeburczyków i ich sprzymierzeńców Krzyżaków.

Konrad, margrabia brandeburski, pojął w małżeństwo Konstancyę, córkę Przemysława książęcia

poznańskiego, a bratankę Bolesława kaliskiego. Dana mu w posagu ziemia Sanocka krom zamku. Niemiłem okiem patrzyli Brandeburczycy na tę sławną podówczas warownię. Dlatego, pomimo związków powinowactwa i sąsiedzkiej przyjaźni, w upatrzonym czasie opanowali ją podejściem. Ztąd poszły liczne wojny pomiędzy Bolesławem kaliskim, opiekunem Przemysława, pogrobowca poznańskiego książęcia, a Konradem i Ottonem, margrabiami brandeburskimi. Zburzona twierdza santocka dla usunięcia kości niezgody, później znowu odbudowana, została nareszcie w ręku Brandeburczyków, którzy dalej swe posuwając zapędy, podobnież Drzech opanowali. Nie mniejsze klęski szarpały Pomeranię. Mestwin i Wracisław, bracia a książęta tej ziemi, żyli z sobą w ustawicznej niezgodzie, którą podniecali Krzyżacy, chcąc z ich niesnasek korzystać. Wszakże stany pomorskie nakłoniły ich do uczynienia działu, mocą którego Wracisław dostał w posiadłość Gdańsk, Jeżew, Gniew i Swiecie, Mestwin i resztę Pomorza. Wszelako niespokojny umysł pierwszego wydał się związkiem z Brandeburczykami na opanowanie bratniej dzielnicy. Konrad, margrabia, ofiarując mu wsparcie, wyłudził puszczenie Gdańska, które zaraz swym ludem osadził. Mestwin, spostrzegłszy powstającą burzę, wezwał pomocy Bolesława, kaliskiego książęcia. Przerażony potęgą brata i wielkopolskich książąt, Wracisław, już nie ufający Brandeburczykom, którzy tylko zysków szukali, udał się do Elbląga do Krzyżaków, a przyjąwszy mniszy habit i zapisawszy tym ostatnim część swoją Pomeranii, której sam bronić nie zdołał, wkrótce dokonał żywota. Tym spo-

sobem Mestwin został sam przyrodzonym panem całej Pomeranii, tembardziej, że Krzyżacy, zajęci wojną z Prusakami, nie mogli korzystać z bezprawnej darowizny zmarłego Wracisława. Lecz Brandeburczycy raz zagarniętego Gdańska puścić nie chcieli; owszem, sposobiąc się w groźniejszą niż dotąd potęgę, wzniecali obawę rozszerzania swoich przywłaszczeń.

Goniec, o którym w przeszłym rozdziale wspomniano, przywiózł Bolesławowi wiadomość, że Mestwin, nie mogąc znieść co dzień wzrastających krzywd ze strony Brandeburczyków, postanowił nakoniec upomnieć się o nie orężem. Na mocy dawnych układów wzywał on Bolesława do czynnego i niezwłocznego uczestnictwa w tej wojnie. Nareszcie Mestwin, będąc bezdzennym, ofiarował przyłączyć na wieczne czasy Pomeranię do Polski i zapisać tę piękną ziemię Przemysławowi książęciu poznańskiemu, byleby czynnej od Wielkopolanów doznał pomocy. Z dwojakiego powodu uradowały Bolesława odebrane listy. Sposobność przyłączenia Pomeranii do ciała ojczyzny nie ustępowała chęci powetowania dawnych krzywd na Brandeburczykach w zagarnięciu Santoka i Drzenia. Dlatego, wyjaśniając zasępione zrazu czoło, rzekł do otaczających go spokojnie:

— Lubo odebrane wiadomości mogą nas wkrótce do innych zabaw powołać, nie są one jednakże tego rodzaju, aby nakazywały przerwać wesołość dnia tego.

Na skinienie książęcia zabrzmiała muzyka. Sędziwy Bolesław, przywoławszy swą córkę Jadwigę,

zaczął z nią poważnym krokiem taniec narodowy. Bolesław, książę mazowiecki, prowadził w drugiej parze Jolantę. Henryk Tłusty, książę lignicki, w obawie bezskuteczności swych starań o rękę Jadwigi, ujmował sobie przezornie jej młodszą siostrę, Elżbietę, i z nią najczęściej tańcował. Przedpełko, wojewoda poznański, kończył szereg licznych par z nieszczupłą ochmistrzynią, stosując się zupełnie do jej wymuszonych poruszeń, co tak bawiło malutką Hannę, że się od śmiechu głośnego wstrzymać nie mogła.

Gdy przetańcowano kilkakroć polskiego, widząc Bolesław wzmagającą się ochotę, wyszedł tajemnie do swej komnaty, a za nim udali się po chwili wojewoda poznański i kasztelan kaliski. Później wezwał do siebie jednego z mazowieckich książąt. Spostrzegłszy ich nieobecność Konrad de Tierberg i przeczuwając ważną jakąś naradę, udał się niepowołany do izby książęcej i rzekł, wstępując:

— Wolnoż jest wiedzieć, jaka troska zgromadziła tę radę w chwili powszechnej ochoty?

— I owszem — odpowiedział książę kaliski.— Tak są czyste sprawy nasze i cele, że możemy je śmiało i przyjaciołom i nieprzyjaciołom udzielić. Mestwin, nasz pokrewny, a pan i dziedzic Pomorza, uciśniony do żywego od brandeburskich margrabiów, postanowił nakoniec siłę siłą odeprzeć. Nie dosyć, że przeciw wszelkim prawom i sojuszom, zatrzymują mu Gdańsk podstępem zajęty, lecz nadto przez częste na jego kraje napady ostrzegają go równie z innemi książęty, jak niespokojne i niebezpieczne jest ich sąsiedztwo. Dla powetowania krzywd takich uchwaliwszy wojnę, wzywa nas do czynnego uczestnictwa i spółki.

— Gdy margrabiowie brandeburscy — odezwał się Tierberg — są sprzymierzeńcami naszego Zakonu, a ten świeżo zawarł przymierze z waszą miłością, ufamy przeto, że się nie dacie uludzić widokami najkorzystniejszej nawet wojny przeciw tym, którychbyśmy z powinności bronić musieli.

— Wierni jesteśmy—rzecze Bolesław—zawartemu z wami przymierzu, ale do niego nie przypuściliśmy bynajmniej Brandeburczyków. Pomoc, której od nas domaga się Mestwin, należną mu jest jako rodakowi i pokrewnemu naszemu. Wreszcie zajęcie Santoka i Drzenia przez chciwych cudzej własności sąsiadów rychlej, czy później oręż nasz do sprawiedliwej zemsty pobudzi. Niech się odrazu skończą gorszące między sąsiadami niesnaski tak o pomorskie, jak i o wielkopolskie zabory.

— W tym razie — rzekł na to Konrad de Tierberg—Zakon nasz przyjść musi w posiłek brandeburskim margrabiom, są to również rodacy i sprzymierzeńcy nasi.

— Gdyby można było—odrzekł Bolesław—polegać na ich słowie i wierze, raczejby nam wszystkim wypadło, usunąwszy wzajemne zatargi i spory, miasto przelewania krwi chrześciańskiej, zwrócić nasz oręż ku poskromieniu niebezpiecznej prusaków dziczy.

— Do tego wielkiego dzieła—odpowiedział z żywością komendor — sam nasz Zakon ma dostateczne sposoby i siły i nie zechce z nikim podzielić spływających ztąd zaszczytów.

— Powiedzcie raczej—przerwie Bolesław—nabytków i zdobyczy. Lecz mniejsza o nie; posiądźcie sobie całe Prusy, ze wszystkiemi ich lasami, bagnami

i jeziorami, bylebyście uszanowali nasze, a drogą krwią przodków nabyte własności.

— Jeżeli ważyć będziemy — odezwał się krzyżak—prawa własności na bezstronnej szali, podobno zakon nasz ma najmocniejsze do Gdańska, Tczewa, Gniewa i Świecia. Świadoma jest wam darowizna, którą Wracisław uczynił nam w Elblągu całej swej dzielnicy. Tym kształtem chcecie to Brandeburczykom odbierać, co do was nigdy należeć nie może.

— Pomyliliście się, ojcowie wielebni i zacni rycerze, w czasie i prawie — odpowiedział Bolesław.— Wracisław, przyjąwszy wasz zakon i kaptur, jako mnich nie mógł już dzielnicą swoją rozrządzać. Nie miał do tego prawa, wedle trwających umów, bez wiedzy stanów i swojego zwierzchnika. Tym był brat starszy, Mestwin, który po zejściu bezpotomnem młodszego, stał się przyrodzonym panem wydzielonych mu dzierżaw i powiatów. Przyjdzie czas, że te spory najwyższa w chrześciaństwie władza rozstrzygnie.

— Tymczasem zaś—zawołał, powstając z miejsca swego komendor—gdy takie jest wasze postanowienie, niechaj je lepszy oręż rozstrzygnie. W tem położeniu rzeczy dozwólcie, miłościwy książę, abym was niezwłocznie pożegnał.

— Nie chcemy się wam sprzeciwiać — odrzekł Bolesław — na polu bitwy, równie jak przy gościnnym stole, radzi będziemy na wasze poważanie zasłużyć.

Wyszedł Konrad de Tierberg, wywołał niebardzo skorego do zaniechania trwających uciech Dytrycha i tej jeszcze nocy udał się na rozstawionych koniach z Kalisza do Elbląga.

Rychło się ukończyła ochota na zamku kaliskim. Nagły odjazd Konrada de Tierberg i Dytrycha, przywoływanie co chwila do komnaty Bolesława znakomitych książąt i panów, niespokojność Jolanty, która się o nic dopytywać nie chciała, roztargnienie widoczne Jadwigi, wszystko się połączyło do tego, że w godzinę po północy już w całym zamku głuche panowało milczenie.

Bolesław snać całą noc na rozpisywaniu listów przepędził. Nazajutrz Przedpełko, wojewoda poznański, Ziemomysł, brat Władysława, Henryk, książę lignicki i obadwaj mazowieccy książęta, równo ze świtem opuścili mury Kalisza. Władysław w ciągu ostatniego wieczora miał zręczność zbliżenia się po dwakroć do pięknej Jadwigi, a czułe jego i skłonne do żywszych uniesień serce już się zajmowało tym ogniem, który stał się z czasem dla niego źródłem tylu boleści i nieokreślonej słodyczy. Cierpiał przecież nad tem niezmiernie, że książę kaliski, przywołując koleją wszystkich książąt i znakomitszych panów i udzielając im (jak się domyślał) swojej poufałości, jego tylko jednego pominął. Z tym żalem udał się na spoczynek, lecz go znaleźć nie zdołał. Wdzięki Jadwigi, jej niewinność, szczerość i słodycz, pierwiastkowa uwaga, którą na niego zwracał Bolesław, a zaniedbanie następne, nakoniec wszelkie wypadki dnia poprzedzającego, z mnóstwem przemijających myśli, stawały bezprzestannie przed jego umysłem.

Nazajutrz świadek odjazdu książąt i nadzwyczajnej czynności w całym zamku długo przesiadywał w swojej komnacie, oczekując, azali go Bolesław jakiem uwiadomieniem lub przywołaniem zaszczyci.

Nakoniec, nie mogąc powściągnąć swojej niecierpliwości, udał się do kaliskiego książęcia, którego zastał wydającego liczne i rozmaite rozkazy.

— Ufalem i pochlebiałem sobie, miłościwy książę — rzekł z widocznem pomieszaniem i żalem — że w chwili, która nadzwyczajną czynnością cały wasz dom zajmuje, nie usuniecie nas jednych od tajemnicy, dającej do tych kroków pobudkę. Jako pokrewny i polak tuszyłem sobie...

— Nie miejcie do nas żałości — przerwał mu Bolesław — tajemnica, o której mówicie, jest już wszystkim wiadoma. Idzie tu o spieszną przeciw Brandeburczykom wyprawę, a jeśliśmy niektórym udzielili tej wiadomości, wielu zaś do wspólnej sprawy wezwali, pominięcie was jednego miało także swoją przyczynę. Nie wątpimy na chwilę, żeście gotowi wesprzeć nasze usiłowania z siłą, jaką wam Bóg dotąd w ręce powierzył i w innej chwili samibyśmy tego od was żądali. Ale obecność wasza może być nierównie potrzebniejszą gdzieindziej. Jest jedna tajemnica, której nikomu dotąd nie powierzyliśmy, a którą z boleścią w sercu waszem składamy. Wczoraj przed rozpoczęciem turniejów odebraliśmy wiadomość, że Bolesław, książę krakowski, a nasz monarcha, złożony został śmiertelną chorobą. Wyznaczony następcą tronu brat wasz Leszek, książę sieradzki, nic o tem nie wie. Do niego przeto śpiesznie udać się macie, ażeby rychłem do Krakowa przybyciem zapobiegł wypaść mogącym zamieszkom. Prócz tego Leszek, książę sieradzki, żadnem się nie cieszy potomstwem. Wy przeto, Władysławie, jako najbliższy jego następca, możecie być potrzebnymi w sto-

licy i nie powinniście się lekko na przygody wojenne narażać.

— Z czułością przyjmuję troskliwość waszą, miłościwy książę—odpowiedział wzruszony do żywego Władysław.—Lecz gdy losy monarchów i tronów są w ręku Wszechmocnego, nam zbytnią przezornością i przenikaniem wydarzyć się mogących wypadków nie należy uwłaczać mądrości Tego, który od wieków wszystko przewidział i wszystko urządził. Niechaj ten będzie dziś i na przyszłość polskim monarchą, kogo Bóg ojców naszych do tej dostojności powoła. My, spokojni na przyszłość, chcemy z teraźniejszości korzystać i postanowiliśmy niezmiennie towarzyszyć wam w gotującej się na Brandeburczyków wyprawie. Mogliżbyśmy lepiej zacząć szkołę broni i doświadczenia, jak pod okiem książęcia równie słynącego z dzieł rycerskich, jak z roztropności w sprawach pokoju?

— Z trudnością na to zezwolić nam przyjdzie— rzecze Bolesław.

— Lecz gdy nam, miłościwy książę — przerwał żywo Władysław — miło będzie zawdy dla waszego dobra wszelkie pokonywać trudności, ufam przeto, że nie raczycie mnie jednego tak bardzo upośledzić z pomiędzy tych, którzy w dniu wczorajszym przypuszczeni byli do pożywania chleba waszego. Dlatego pewnym już będąc przyzwolenia i czytając je w oczach waszych, wyprawię natychmiast giermka mojego do Sieradza dla uwiadomienia o wszystkiem Leszka, brata naszego, a goniec umyślny powiezie rozkaz do Brześcia, ażeby się kopijnicy nasi, będący teraz pod bronią, nieodwłocznie pod te mury stawili.

— Kiedy chcecie koniecznie dzielić z nami trudy i niebezpieczeństwa niniejszej wyprawy — odpowiedział Bolesław — zabronić wam tego nie mogę. Wszelako jeden zakładam warunek, to jest, ażebyście od tej chwili nie oddalali się od boku naszego i abyście w tej wojnie, uważając nas za ojca i przewodnika waszej młodości, postępowali jedynie za radami doświadczenia naszego.

— Zgoda — rzekł na to z uniesieniem Władysław—i od tej chwili przysięgam wam, szanowny książę, że z uległością synowską wszystkie wasze skinienia i rozkazy wypełniać będę.

Skutek niniejszej rozmowy przewyższył nadzieje Władysława. Wyprawiwszy skwapliwie gońców do Sieradza i Brześcia, pozostał na dni kilka w zamku kaliskim, a przeto zyskał sposobność widzenia i rozmawiania z Jadwigą. Jakkolwiek wiadomość gotującej się wyprawy i nowych niebezpieczeństw, na które miał się narażać Bolesław, dotkliwą była dla serca Jolanty, gdy jednak w ciągu dwudziestoletniego pożycia rzadki rok obszedł się bez wojny, przetrwawszy w smutku pierwsze chwile, nawyknienie i przyrodzona spokojność umysłu przywróciły jej dawny stan serca. Jako pani domu i skrzętna gospodyni, dopomagała książęciu w przygotowaniach na blizką wyprawę. Sama wydawała służebnym zapasy żywności ze śpiżarni, sama czuwała nad ochędóstwem i praniem chust mężowskich i sama je oddała szatnemu pod liczbą. Starała się naśladować matkę Jadwiga, lecz zwyczajna spokojność serca odbiegła od niej daleko. Kochając ojca nad życie, drżała co chwila z obawy postradania w nim jedynej podpory swojej

młodości, a zasłyszawszy, że i Władysław towarzyszyć mu będzie, sama pojąć nie mogła, dlaczego pierwszy raz w swem życiu chętnieby poświęciła wszystko dla odwrócenia tej nieszczęśliwej wyprawy. Za pierwszem przeto spotkaniem z Władysławem rzekła do niego w te słowa:

— Tak młodzi jesteście, Władysławie, a tak już wojennej sławy pragniecie. Cóż to będzie w późniejsze lata?

— Któżby nie pragnął, piękna Jadwigo, iść w ślady waszego ojca? — odpowiedział Władysław.— Kiedy mąż letni i syty chwały śpieszy na pole zapasów z młodzieńczym zapałem, mógłżebym pozostać w domu spokojnie, bez ściągnięcia ostatniej hańby na siebie?

— Bóg widzi, jak kocham ojca mojego—rzekła na to Jadwiga — lecz gdybym była cokolwiek śmielszą, tobym mu wręcz wyrzucić nie wahała się, że nigdy nie lubi długo w domu pozostać. Tyle na niego darów wylała dobroczynna Opatrzność. Ma piękne włości i zamki, ma pełne zwierzyny knieje. Matka nasza, ten anioł dobroci, utrzymuje w domu porządek, dostatek, spokojność i bojaźń Bożą. Jest nas troje ku uldze w dolegliwościach życia, kochają go poddani, szanują i poważają sąsiedzi. Już i czas przypruszył szronem czarny niegdyś włos jego. Byłaby pora odetchnąć po tylu trudach i nacieszyć się z nami. Przecież on woli z konia na koń przesiadać i nigdy swej szabli przez rok cały spokojnie w pochwach nie zatrzyma. Ledwie po jednej wojnie ponaprawiają kopie, włócznie i łuki, jużci trzeba wyciągać na nową. Żaden spór sąsiadów lub pokrę-

wnych nie obejdzie się bez ojca. Mniemam, że gdy mu nieprzyjaciół zabraknie, z własnej ochoty wyprawi się na Tatary dla pomszczenia klęsk, które przed niedawnym czasem na kraj nasz ściągnęli.

— Taki jest los męża, ojca i pana — odpowiedział Władysław. — Jego opiece poruczyła Opatrzność całość poddanych, on nad nimi we dnie i w nocy czuwać powinien. Niechaj spokojnie zasypiają zgrzybiali starcowie i bezbronne niewiasty w tym kraju, którego rządy poruczył Najwyższy podobnym, jak wasz ojciec, książętom.

— Co ja, to innego jestem zdania — przerwała Jadwiga—i gdybym wiedziała, że pójdę kiedy za męża lubiącego wojnę i ustawiczne wyprawy, prosiłabym rodziców, aby mię raczej do klasztoru oddali.

— A przecież świadoma jest wszystkim — rzecze Władysław—ta przepowiednia, która wyjść miała z ust jakiegoś pobożnego pielgrzyma, że piękna Jadwiga ma być królową.

— Możebym na to przystała — odrzeknie — gdyby się trafił jaki król gospodarz, któryby lubił zakładać miasta, budować ratusze, zamki, kościoły, sadzić drzewa i wprowadzać do kraju porządek.

— W chwili, w której żyjemy — mówił Władysław — ani król, ani rycerz, ani ziemianin, jutra być pewnym nie może. Wszystko jest w strasznym odmęcie. Wewnątrz rozterki, zewnątrz chciwi naszych własności sąsiedzi. Długo jeszcze trwać muszą te czasy, w których najbezpieczniejszym dachem będzie stalowa przyłbica, a ścianą zasłony i przytułku tarcza.

— To ja też właśnie w tych czasiech iść za

mąż wcale nie myślę — odpowiedziała z wesołością Jadwiga.

A wtem malutka Hanna, biegnąc ku niej, zawołała:

— Siostro! siostro! patrz jeno, jacy piękni żołnierze ciągną prosto do zamku.

Jakoż powszechną zwrócił na się uwagę hufiec kopijników książęcych, prowadzony przez zacnego Jana, herbu Grzymała, kasztelana kaliskiego, a ze stu dwudziestu doborowych ludzi złożony. Wyjechał naprzeciw Bolesław i przeglądał go na placu wczorajszych turniejów, okazując nieobojętną radość z rycerskiej jego postawy. Za zwolnieniem szyku bojowego jeździł krokiem powolnym pomiędzy żołnierzami i do każdego coś obowiązującego przemówił.

— Jeszcześ się to raz wyprawił na wojnę — rzekł do osiwiałego i schylonego na koniu rycerza.

— Jedenaste to pole dopiero — odpowiedział książęciu — pod wodzą waszej miłości i ufam w Bogu, że jeszcze nie będzie ostatnie. Kto osiwiał w boju i z szablą w ręku, temu nie przystoi umierać na łożu.

— Będziemy — odrzekł Bolesław — dzielili się z sobą i niebezpieczeństwy i chlebem, a gdy nam Najwyższy pozwoli wrócić szczęśliwie do domu, jako obadwa starzy i w jednem osiwieli rzemiośle, pod jednymże z sobą dachem mieszkać musimy.

— Cóż na to powie gładka wasza Halina? — odezwał się do młodego kopijnika. — Słyszeliśmy, że już zapowiedzi głoszono.

— Musi trochę poczekać nieboga — odpowiedział książęciu — a jeżeli nam wypadnie przygryźć

nadmorskiego piasku, na przyszłe gody może sobie gladszego wyszuka.

— Także to snadno puściła was z domu młoda żoneczka? — rzekł znów Bolesław do czterdziestoletniego i pełnego męzkiej siły rycerza.

— Napełniłem jej gumna — odrzekł zapytany — i przysposobiłem przędziwa. Len się nieźle urodził. Ma co jeść, ma czem się zabawić. Cóż jej po człowieku przez zimę? Ku wiośnie wrócimy z pod Gdańska i pewnie nie z próżnemi rękoma.

— A gdyby nam dłużej pozostać wypadło? — zagadł go książę.

— Niech się dzieje wola Boża — odezwała się część rycerstwa. — Gdy wy, panie, wezwaliście nas do broni, musi to być z pożytkiem świętej wiary i miłej ojczyzny, za które umierać nawet jest słodko.

— Dzieci moje—zawołał Bolesław—z takim ludem, jak wy, wszystko jest snadne i mile. Odpocznijcie z pochodu, a pojutrze w imię Boże ruszymy.

Dzień następny sprowadził niemało zbrojnego ludu pod zamek kaliski. Spieszyła okoliczna szlachta, wezwana przez książęce listy do wojny. Przybył rychlej niż się spodziewano Mikołaj Zaręba, na czele hufca z sześciudziesiąt ludzi. Dziwiła wszystkich jego rycerska postawa, porządek i uzbrojenie całej chorągwi. Nie mogła się oderwać od tego widoku piękna Jadwiga, która, chociaż nie lubiła wojny, miłem jednak okiem na ludzi rycerskich patrzyła. Dotknięty szlachetną zawiścią Władysław, spodziewając się rychłego przybycia swych Brześcian, wyprawił się naprzeciw nich nocą, pragnąc z duszy w pięknym po-

rządku stawić się ze swojem rycerstwem przed obliczem kaliskiego książęcia.

Nazajutrz, zaledwie słońce oświetliło okoliczne lasy i pola, usłyszano z kaliskiego zamku dźwięk trąb zbliżających się zbrojnych rycerzy. Władysław, książę brzeski kujawski, na śnieżnym rumaku, z lekką zbroją na piersiach, okryty szkarłatną burką, z szablą, pozyskaną na niedawnym turnieju, a zawieszoną na wstędze błękitnej, w białym aksamitnym kołpaku na głowie, prowadził w jaknajwiększym porządku chorągiew ze stu koni złożoną. Wdzięczna postać młodzieńca mile odbijała od nawykłych do wojny rycerzy, z których mało który nie piastował na twarzy chwalebnego bojów znamienia. Herbowna chorągiew, na której sprawna dłoń wyszyła pół orła białego i pół lwa czarnego, jedną uwieńczonych koroną, igrała z lekkim wiatrem jesieni. Lśniły się zdaleka żelazne zbroje i świecące się proporce. Gdy ujrzano wyjeżdżającego naprzeciw Bolesława w towarzystwie Grzymały, Zaręby i innych znakomitych rycerzy, gdy okna zamkowe napełniły się ciekawymi widzami, Władysław kazał całemu hufcowi przypuścić w największym pędzie, a przecież pilnując bojowego porządku. Z podziwieniem osiwiałych w boju rycerzy pędził cały hufiec bez naruszenia szyku i za danym znakiem w mgnieniu oka przed obliczem kaliskiego książęcia stanął jak wryty.

— Widać, młody nasz książę — rzecze na to Bolesław — że wy i wasi rycerze nie spoczywacie gnuśnie w pokoju i że rycerskie ćwiczenia poufalszemi są dla was nad biesiadne rozrywki.

— Synowie mężów, którzy rzadko w swem

życiu zsiadali z konia — odpowiedział Władysław — staramy się nawykać od dzieciństwa do wojennego rzemiosła. Długo jeszcze szabla i kopia będą jedynemi zabawami Polaka i nie tak rychło ustąpią przodka plugowi. Dziś składamy najżywsze dzięki waszej miłości, że nam dozwalacie pod swemi oczyma już nieco przytępionych szabli sprobować.

— Bóg i dobra sprawa — rzekł książę kaliski — będą naszem hasłem, a uwolnienie od obcego jarzma pięknej pomorskiej krainy i warownego Gdańska, trudów naszych nagrodą.

Wtedy hufiec cały, rozdzielony na mniejsze szeregi, przeciągnął przed Bolesławem, a z oczu każdego rycerza widać było, że dzielił zapał swego przywódcy i pana.

— Kasztelanie kaliski — odezwał się Bolesław do sędziwego Grzymały — cóż wasza miłość mówi o tem rycerstwie? Odpowież ono oczekiwaniu naszemu?

— Z postawy tych mężów — odrzeknie krzepki staruszek—łacno wyczytać, jak dzielne serca okrywają ich zbroje.

Cały dzień przybywały nowiny o zbierających się na wezwanie Bolesława chorągwiach i pojedyńczych pocztach. A gdy Przedpełko obwieścił, że z rycerstwem poznańskiem udał się prosto do Gniezna, gdzie miał czekać na złączenie się zebranego pod Kaliszem żołnierza, Bolesław wydał rozkaz Grzymale, ażeby tego jeszcze wieczora wyruszył ku Gnieznu.

— Ileż mamy spisanego rycerstwa, a zebranego pod temi murami? — zapytał namiestnika swojego.

— Tysiąc siedmset koni, krom ludu łuźnego — odpowiedział kasztelan.

— W Imię Boże ruszajcie — zawołał książę — ta liczba godna jest przywództwa waszego. Jutro wraz z Władysławem pośpieszymy za wami. Dziś jeszcze mamy urządzić niektóre sprawy domowe.

Ruszyli podług wziętych rozkazów. Szły razem z nimi życzenia i błogosławieństwa mieszkańców Kalisza. Tuman kurzawy podnosił się długo i wysoko za wojskiem. Władysław rozstał się nie bez trudności i żalu ze swoją chorągwią, powierzywszy rotmistrzowi dowództwo. Przemogła chęć widzenia raz jeszcze i pożegnania Jadwigi, a gdy ostatni raz przed wyprawą wieczerzano na zamku kaliskim, Bolesław, widząc pogrążoną w smutku swą córkę, rzekł do niej z czułością:

— Czemuż tak zasępiły się lica lubej naszej Jadwigi?

— Boleść bliskiego rozstania się z wami, kochany ojcze, przenika me serce żałobą — odpowiedziała tęsknym głosem Jadwiga.

— Jeżeli to tylko — mówił znów Bolesław — to fraszka. Nie pierwszy raz przecie wyprawiamy się na tych kłótliwych Brandeburczyków, a zawsze wracaliśmy bez szwanku. Ale ci piękni i dorodni rycerze, których tysiąc kilkaset zabrał z sobą Grzymała, kto wie, co się z nimi stanie.

— Zapewne, mój ojcze — mówiła Jadwiga. — Może z nich niejeden znajdzie grób daleki od domu w tych tam nadmorskich piaskach, a mnie żal każdego, co marnie ginie.

— Jakto! — zawołał Bolesław — śmierć dla sławy śmiercią marną nazywasz? Jeśli z nas każdy rychlej, czy później dokonać musi żywota, nie przystoj-

niej-ż jest dla męża z orężem w ręku umierać? a wreszcie nie wszyscy może zostaniemy pod Gdańskiem. Znajdą się pewnie i tacy, co za swym powrotem bawić was będą opisami tych dzieł i bojów, do których chlubnie wpływali lub na które poglądali własnemi oczyma. Nim to jednak nastąpi, zanuć nam na pożegnanie którą z ulubionych piosneczek.

— Z ochotą — rzeknie na to Jadwiga. — Może tę dumkę o siwym koniu, którąście dawniej dosyć lubili?

— Niech będzie — odpowiedział Bolesław. — Niezła jest i do naszego położenia dosyć stosowna.

Posłuszna rozkazom ojca Jadwiga, wzięła gęśl i zgadzając jej tony ze swym głosem, w ten sposób śpiewała:

Dokąd pędzisz, koniu siwy?
Stań tam, gdzie stado popasa:
A twój rycerz urodziwy
Czegóż tak hasa i hasa?

Tam z nad morza, od północy
Trąby wojenne zagrzmiały;
Bracia wzywają pomocy,
Wre w mym jeźdźcu żądza chwały.

Postój, postój, siwy koniu:
Tuś się nieraz w upał chłodził;
Strzygłeś trawkę na tem błoniu
Tu się twój rycerz urodził.

Nie mogę czekać, nie mogę.
Chwila bitwy niedaleka:
Długą jeszcze mamy drogę
A tam na nas chwała czeka.

Chwała jest mara zawodna,
Łudzi się, kto jej dowierza:
Lepsza stajenka wygodna
Lepsza chatka dla rycerza.

Rycerz mój próżen obawy,
Zrzekł się wygód, spokojności:

Milsza mu jest chwila sławy
Nad długie życie w gnuśności.

Idź więc tam, gdzie pan twój zmierza,
Lecz po sprawach dzielnej broni,
Powróć nam twego rycerza,
A powróć z laurem na skroni.

Rycerz ufa w Boskiej sile,
Ta nas wywiedzie z pogromu:
Rychło przejdą wojny chwile
I wrócim oba do domu.

Ja będę czekać spokojnie;
Dam ci sianka z własnej ręki.
Niechaj was tylko po wojnie
Nie usidlą obcych wdzięki.

Rycerz mój czuły, choć młody,
Inny kraj go nie usidla:
Bo dym rodzinnej zagrody
Milszy nad obce kadzidła.

Wkrótce Bolesław, pożegnawszy żonę, dzieci i domowników, wyrwał się rychło z ich uścisków i udał się na spoczynek. Naśladował go Władysław. Do śpieszącego za Bolesławem ledwie rzec mogła Jadwiga:

— Szlachetne książę, błagam was na Boga, nie odstępujcie nigdy ojca naszego.

— Przysięgam ci, piękna i dobra Jadwigo—odpowiedział Władysław—że święte dla nas twoje rozkazy zawsze mi będą w umyśle przytomne i że na chwilę od nich nie zboczę.

— Bóg niech przebywa z wami — rzekła, podnosząc ręce do niebios Jolanta.

ROZDZIAŁ V.

Pierwsze dni pochodu.

Niedługo używał spoczynku Bolesław. Na dwie godziny przededniem ubrany do pochodu i uzbrojony zupełnie, opuścił w cichości zamek kaliski i wsiadł na stojącego w pogotowiu konia. Czekał na niego przy bramie zamkowej Władysław. Ruszyli razem w towarzystwie pięciu kopijników, z których jeden jako przewodnik puścił się przodem. Przejeżdżając przez miasto, zatrzymali się u kościelnych podwoi.

— Od Boga pocznijmy, a Bóg nas wesprze w naszych zamiarach.

To wymówiwszy, zsiadł z konia Bolesław i wszedł razem z Władysławem i otaczającem go rycerstwem do otwartego kościoła. Kilka kagańców oświetlało sklepienia tej poważnej i dosyć okazałej świątyni. Zapalono świece przy wielkim ołtarzu, a gdy sędziwy kapłan wyszedł razem z duchowieństwem dla odprawienia Mszy świętej, ukląkł Bolesław przy stopniach ołtarza i w żarliwej modlitwie polecał Najwyższemu swój dom, rodzinę siebie i swoje zamiary. Podczas Ewangelii wszyscy przytomni dobyli do połowy szabel na znak gotowości bronienia kosztem krwi własnej odziedziczonej po przodkach wiary. Gdy kapłan, kończąc mszę, przeżegnał i gdy wymówił ostatnich świętego obrzędu wyrazów, przyklęknąwszy Bolesław na pierwszym stopniu ołtarza, wyrzekł te słowa:

— Mężu Boży, pobłogosław naszym zamiarom i błagaj Najwyższego, aby te szczęśliwym skutkiem uwieńczone zostały.

Dopełniwszy kapłan woli książęcia i przeżegnawszy go powtórnie razem z jego otoczeniem, temi słowy przemówił.

— Podobało się ojców naszych Bogu wezwać was, miłościwe książę, raz jeszcze w tym podeszłym wieku, do podniesienia oręża na obronę ojczystych swobód i uciśnionych współbraci. Niechaj się spełni święta Jego wola nad nami. Postępuj, miłościwy książę, szlachetnym torem walecznych i bogobojnych przodków, a mając przed oczyma ich wzory, nie zboczysz nigdy z drogi prawego chrześcianina i dbałego o dobro ludu swojego Pana. Jeśli z tej walki wyjdziesz wasza miłość zwycięzcą, pomnij, że wszystko od Boga pochodzi i że najpotężniejsi książęta i króle są tylko narzędziami niecofnionych jego wyroków. Jeśli zwyciężonym zostaniesz, ufaj w Bogu i nie upadaj w męztwie, a Bóg cię z ostatniej nawet podźwignie niedoli. Wpośród najwyższej pomyślności oręża pamiętaj, że krew ta, którą przelewać będziesz, jest krwią chrześciańską i że chlubniej jest przebaczać, niż srożeć, nawet nad wiarołomnymi. W każdem zdarzeniu racz, miłościwy panie, ochraniać chudoby biednego ludu; miej litość nad łzami wdowy i sieroty; a ten, który rozrządza berłami i mieniem najlichszego człowieka, nie dopuści twym dziatkom zniszczeć w sieroctwie i utrapieniu, lecz je za to porozsadza na znakomitych stolicach i tronach. My, słudzy ołtarza, będziemy codziennie błagali Najwyższego w niegodnych modłach o drogie dla nas zdrowie naszego książęcia i pana.

Wysłuchał Bolesław ze skruchą tej krótkiej przemowy, a ukorzywszy się raz jeszcze przed znakiem

zbawienia i zostawiwszy hojną dla miejscowego ubóstwa jałmużnę, ruszył wraz z Władysławem w zamierzoną drogę. Dość długo jechali w milczeniu. Gdy brzask pierwszy objaśniać zaczął przedmioty.

— Gdzież to nas wiedziesz, ty stary włóczęgo? — zawołał Bolesław na przewodnika.

— Nie troszczcie się bynajmniej, miłościwy książę — odpowiedział ten ostatni.—Znam ja tu każde drzewo i kamyk. Nim się słońce podniesie, uznacie, miłościwy panie, że nie błądziemy.

— Ależ te ciasne i błotniste drogi, te wązkie i nieujeżdżone ścieżki — odezwał się książę kaliski.

— Doprowadzą one — odrzekł przewodnik — spieszniej tam, gdzie waszym miłościom ciągnąć wypada, niż szeroka droga, którą się udał wasz namiestnik, kasztelan kaliski. Dla wozów i taboru wziął się on na Konin. My, dążąc przez Chocz i Zagórów, rychlej w Słupcy staniemy.

— Ależ nie radzibyśmy nabawić ich wstydu — rzecze Bolesław, że mając pół dnia przed nami, dali sobie wziąć przodek w pierwszym nawet pochodzie.

— Możemy się gdzie zatrzymać, miłościwe książę — odpowiedział przewodnik — jest tu po drodze kilka dworków szlacheckich, gdzie nam konie napaść i napoić wypadnie.

Przez chłodny i mglisty poranek przebyli godzin kilka w ciągłej i dość mozolnej podróży. Już tylko byli o pół mili od miejsca, w którem, podług topograficznych wiadomości biegłego przewodnika, wypadał spoczynek, gdy część mgły gęstej i wzniesionej do góry promieniami słońca w deszcz się rzęsisty zmieniła. Nie było w bliskości żadnego przytułku.

Jeszcze zarosła lasami Polska wystawiała widok kraju na pół dzikiego. Wszystkie powiaty i ziemie prawem dziedzicznem należały do królów i książąt. Cząstkowe nadania i przywileje za wojenne lub osobiste zasługi własność monarszą na prywatną zmieniały. W sąsiedztwie miast większych trzebiono lasy, zakładano osady i włości. Lecz im bardziej się kto od tychże miast oddalał, tem mniej znajdował śladów pracy rąk ludzkich, mniej wygód w podróży, a często nie widział innego, prócz drzew rozłożystych, przytułku. Takim krajem podróżujący nasi książęta i przemokli do suchej nitki, z radością ujrzeli wiejską osadę, z kilku chat nędznych złożoną, między któremi jeden nieco porządniejszy dworek zdał się być dla nich najokazalszym pałacem.

— Jest to wieś Korąb — odezwał się do kaliskiego książęcia biegły w miejscowych wiadomościach przewodnik — a ten oto dworek jest mieszkaniem dawnego naszego towarzysza broni, którego rodzicowi ojciec waszej miłości, spoczywający w Bogu książę wielkopolski, pan i dziedzic tych krain Władysław Odonicz, we cztery lata po zaślubieniu pełnej cnót pani Helingi, księżniczki pomorskiej, siostry Świętopełka, a ciotki Mestwina, roku po Narodzeniu Chrystusa Pana, jeśli się nie mylę, tysiącznego dwóchsetnego...

— Dość na tem — przerwał Bolesław — reszty się na miejscu dowiemy.

Wjechali w niewielki podwórzec, otoczony płotem chruścianym, gęsto zawieszonym tarniną. Dworek drewniany, pokryty trzciną, odróżniał się od innych budynków wielką rzadkością w owym wieku,

to jest murowanym kominem. Naprzeciw stała szopa, pod którą mieściły się konie, bydło i wozy. Na boku widać było dwa brogi, a w środku gołębnik mający na dachu, zamiast chorągiewki, blaszanego koguta, który skrzypiał nielitościwie za każdym wiatru powiewem.

Dwa psy ogromne wypadły z budy. Ich szczekanie pobudziło mieszkańców do ruszenia się ku oknom. Szyby ze skóry baraniej, napuszczonej tłustością (szkło bowiem było zbytkiem niezmiernym, zaledwie wówczas dozwolonym zamkom książęcym), dawały zbyt słabe wyobrażenie o tem, co się dziać mogło za domem.

— Nie dajmy się poznać — rzecze Bolesław, zsiadając z konia, do rozmownego przewodnika swojego; może ztąd jaką korzyść odniesiem.

Zbliżył się książę kaliski do drzwi, pociągnął drewnianą zaporę za sznurek, uchylił głowy dla nizkości uszaków i wszedł do obszernej, a dość chędogo przymiecionej sieni.

— Bóg z wami! — przemówił do wychodzących naprzeciw.

— Na wieki—odpowiedziała gospodyni.—Wnidźcie rycerze do ubogiego domku naszego i ogrzejcie się nieco.

— Za waszem pozwoleniem — rzecze, wchodząc do izby Bolesław i zdejmując z siebie przemokłą burkę, którą jeden z kopijników począł w sieni z deszczu otrząsać;—wybaczcie nam kłopot, który wam sprawiamy.

— Rozgośćcie się śmiało — odrzekła.—Co Bóg dał, wszystko jest na wasze usługi.

— Dzięki wam, hoża gosposiu — przemówił książę kaliski — byleśmy się osuszyli i popaśli koniom, pojedziemy dalej niebawnie.

Niewiasta, którą Bolesław hożą nazwał, a która się wcale o to nie rozgniewała, była średniego wieku, wzrostu więcej niż miernego, twarzy rumianej i pełnej. Na głowie miała czółko srebrzyste, które nieźle odbijało od jej czarnych i gęstych włosów. Karmazynowy kaftan dość zgrabnie opinał jej wysmukłą kibić. Dymowa biała spódnica osłoniętą była z przodu czarnym kamlotowym fartuchem. Duży pęk kluczów wisiał z jednej strony u pasa, a z drugiej różaniec.

— Zasiądźcie bliżej komina — rzekła do Bolesława, przysuwając sosnowe zydelka; — takeście przemokli, że nawet twarzy waszej przyjrzeć się trudno.

— Gdzież jest wasz mąż. — zagadł Bolesław, odwiązując kołpak zaciągnięty pod brodę.

— Ej! nie pytajcie nas o to — odpowiedziała z niesmakiem gospodyni domu.—Znowuć tam wyprawił się na wojnę. Nie wiem, jak im się nie zmierzi ta wieczna tułaczka.

— Zapewne kazano — odezwie się Bolesław.

— A juści kazano — rzecze zagadnięta niewiasta — ale oni na to jak na lato, a tymczasem doma wszystko na tej naszej głowie polega.

— Gdzież wasze dziatki, matulu? — zapytał przewodnik książęcy.

— Popłoszyły się zrazu — odpowie — widząc na podwórcu tyle rycerzy i żołnierzy — i zaczęły wołać, że Niemcy. Ale przekonawszy się z mowy, że to dzięki Bogu nasi, poskoczyły do komory ogarnąć się trochę.

Wtem wszedł do izby Władysław z odkrytą głową i otrząśnięty z deszczu, który go przemoczył.

Utopiwszy w niego wzrok bystry, pani Korębska zawola:

— Co ja to widzę? a wszakci to owo młode książę, które na kaliskim turnieju pokonało tak dzielnie tego tam wymuskanego niemczyka. Ach, miłościwy panie, witajcie nam pod tą ubogą strzechą. Miły Boże! czy my się spodziewali takiego szczęścia! O, dozwólcie niech was uściskam! Gdyby nie te wysokie krużganki, na których nas osadzono, chciałyśmy biedz wszystkie ile nas było i uściskać was z duszy za to, żeście tak gracko sławy narodowej poparli.

— Poznają nas, jak widzę—przemówił do Władysława Bolesław, odwracając się nieco od ognia.

Słowa te były ciosem pioruna dla gospodyni domu.

— Matko Najświętsza! — zawołała głosem donośnym;—gdzież ja to biedna oczy podziała, a wszakci to nasz miłościwy pan i książę! O, co za szczęście, jaka radość! — mówiła dalej, ściskając kolana Bolesława.—Dzieci nasze, dzieci, chodźcie sam skoro i rzućcie się do nóg ukochanemu panu swojemu.

Na ten głos wybiegły z komory dwie kształtne i schludnie przybrane dziewczynki i pięcioletni chłopczyk z biczykiem w ręku.

— Sam, sam — wołała na nie matka, jeszcze raz do nóg jego książęcej miłości.

— Nie szpetne dzieweczki — rzeknie Bolesław.— Jak się nazywasz? — zapytał starszej, która duże swe niebieskie oczy w ziemię utkwiła.

— Jadwiga — odpowiedziała głosem nieśmiałym.

— I nasza pierworodna córka nosi toż imię— rzecze Bolesław z westchnieniem.—A ty, czarnobrewa filutko? — odezwał się do młodszej.

— Magdusia — odrzekła żywo, śmiele patrząca w oczy książęciu dziewczynka.

— A ty chłopcze z biczykiem w ręku?

— Wojtek — odpowiedziała za niego siostra.

— Dziatki moje — zabrała głos matka — wiedzcie o tem, że Bóg zesłał do domu naszego taką radość, takie szczęście, jakiego ani wasz dziad, ani pradziad nie mieli, A wszak-to ten pan jest naszym książęciem i ojcem. O, pozwól miłościwy panie, aby nasz rodzic staruszek mógł także wasze oglądać oblicze.

— Z całego serca — odpowiedział wzruszony Bolesław.

— Dziatki — odezwała się natychmiast Korębska—biegnijcie do dziadusia i przywiedźcie go sam do nas. Ależ, miłościwe książęta, nie możnaby wam jakiego ofiarować posiłku?

— Owszem — odpowiedział Władysław — jużeśmy ujechali mil kilka naczczo od rana.

— Hej!, Fruzyno, Agnieszko — zawołała, uchyliwszy drzwi Korębska—zabijcie tam natychmiast tuczonego koguta. Za pół godziny, miłościwe książęta, będzie on na stole, a polewkę z prosięcia sama pójdę uwarzyć.

— Przepominacie, dobra gosposiu, że dziś jest piątek — rzecze na to Bolesław—a my zachowujemy ściśle przepisy kościoła.

— Ach, wybaczcie nam, miłościwe książęta — odpowiedziała zafrasowana Korębska—z wielkiej rado-

ści pamięć nas nawet odbiegła. Ale czemże przyjmiemy tak zacnych i wielkich gości?

— Co Bóg dał, wszystko nam będzie miłe — rzekł książę kaliski.

— Otóż tak — poczęła znowu Korębska. Najprzód będzie piwna polewka, suto przyprawna śmietaną, potem jaja smażone w maśle — potem — potem — małdrzyki, ale nie, lepiej pierogi ze świeżej tatarczanej mąki.

— Dobrze, dobrze, wyśmienicie, pierogi.

— Biegnę więc sama i za niedługą chwilę sama to wszystko ustawię na tym stole.

— Dobrzy ludzie — zawołał Bolesław — daliby wszystko z pod serca. Obyś, miły Władysławie, podobnej z czasem doznał słodyczy, jaką jesteśmy teraz przejęci. Oby ci smakował lepiej czarny chleb z solą, ofiarowany życzliwą poddanych ręką, nad wykwintne stołów książęcych przysmaki.

W tej chwili wprowadziły dzieci siwego jak gołąb staruszka. Włosy jego rzadkiej brody były tak białe jak mleko, na głowie zaś nie miał już żadnych. Twarz, zoraną od wieku, ożywiał jeszcze niedogasły rumieniec. Biały miał żupan, a szafirowa delia, podbita karmazynowym kamlotem, spiętą była stalową sprzączką pod szyją. U skórzanego pasa wisiała długa staroświecka szabla. Szedł oparty na kiju; starsza wnuczka prowadziła go za rękę.

— Tyżeś-to, poczciwy Lasoto — zawołał, spostrzegłszy go, Bolesław.

— Ach miłościwy panie! Poznajesz-że to nas jeszcze — odpowiedział staruszek. — Przebaczcie łaskawie, że już kolan waszych uścisnąć nie zdołam. Raczcie mi więc podać tę ojcowską i dobroczynną rękę.

Nie mógł odmówić Bolesław, a wzruszony do żywego starzec, ucałował i oblał ją łzami.

— Jakże to dawno—rzekł, ściskając go książę—jakeśmy się z sobą nie widzieli?

— Dwanaście lat podobno, jeśli nas pamięć nie zwodzi. Ostatni raz byliśmy pod wodzą waszej miłości na wyprawie pod Lendą.

— Ileż lat liczycie sobie, poczciwy staruszku?

— Dziewięćdziesiąt jeden i dwa miesiące i gdyby nie te niegodziwe nogi, które nam wypowiedziały służbę...

— Siadajcież przy nas—odezwał się Bolesław—tu wam będzie dogodniej.

— O, zaręczam was, miłościwy książę, że gdyby nie nogi, anibyśmy dozwolili zięciowi wyprawić się samowtór z bratem na wojnę. Jeszcze ta stara szabla, która nas nigdy nie opuszcza...

— O tak jest — odezwała się jedna z dziewczynek.—Dziaduś sypiają nawet z tą szablą.

— I z nią się każę pochować — przerwał żywo staruszek.—Jest ona drogą dla nas pamiątką. Ojciec mój, służąc w chorągwi Skarbka, zdobył ją w bitwie pod Wrocławiem na Psiem polu, i wtedy to Bolesław Krzywousty, przodek waszej miłości, obdarzył go klejnotem herbownym. Nie takie to wtedy były wojny, jak te dzisiejsze. Naród przeciwko narodowi. Z tej strony Niemcy, a z tej Polacy. Tam wodzem cesarz, a tu król nasz waleczny. Bóg zastępów przechylił szalę zwycięztw na sprawiedliwą stronę. Legło ich trzydzieści tysięcy. Dziś co za walki! brat bije na brata, Polak najczęściej walczy z Polakiem. Dla-

tego, jak nas obwieszczono, że się wasza miłość wybiera na wojnę z Niemcami, ledwiem nie wyskoczył ze skóry... Ale te nogi i te lat dziewięćdziesiąt i jeden i dwa miesiące.

— Zostańcie, staruszku, w pokoju — odezwał się Bolesław. — Wyprawiliście zięcia waszego; my wreszcie, młodsi cokolwiek, walczyć za was będziemy.

— Otóż jest gotowe śniadanie — rzekła, wracając do izby Korębska — a wszystko tak, jak wasza miłość kazała. Dalej dzieweczki, pomóżcie mi nakryć do stołu. To mówiąc, z ciemnej dębowej szafy, która stała w blizkości drzwi od sieni, dobyła szarego, lecz czystego domowej roboty obrusa, potem, stanąwszy na drewnianym stołku, zdejmowała z półek cynowe, lecz chędogo utrzymane talerze, łyżki, solniczki, a ustawiwszy to wszystko na stole dębowym wśród izby i przybliżywszy do stołu dwie ławki i jeden drewniany stołek, rzekła do Bolesława:

— Teraz raczcie zasiąść, miłościwe książęta.

— Zgoda — odrzekł książę kaliski — ale pod tym warunkiem, że i nasza hoża a raźna gosposia wespół z nimi zasiądzie.

— To być nigdy nie może — zawołała Korębska. — Ja i moje dziewki będziemy służyły waszym miłościom, przecież my to świadomi, jak nasze książęta przyjmować należy.

— Przynajmniej wasz ojciec — odezwał się Bolesław.

— Co tatulo, to niech sobie usiądą—rzeknie gospodyni. — Oni są letni i kiedyś wiernie waszej miłości służyli, a starych i poczciwych książęta nawet szanować powinni. Dalej dzieweczki z misami.

Usiadł Bolesław we środku, po prawej ręce stary Lasota, a po lewej Władysław. Dalej nieco, na rozkaz książęcia, służba jego zasiadła.

— Piwna polewka gracko się wydarzyła — odezwie się Korębska — ale strach na pierogi.

— Dobrze mówicie, hoża gosposiu, wcale niezła polewka, gdy się nią posilim, mniejsza o resztę.

— Ach, miłościwy książę — rzeknie znowu Korębska — raczcie nam jedno tylko przebaczyć. Ani kropelki wina w domu nie mamy, nawet miodu pszczoły nic a nic latoś nie dały. Ale jest para dzbanów kaliskiego piwa z książęcego mielcucha.

— Dla żołnierzy w pochodzie — odpowiedział Bolesław — dobre jest piwko, a najlepsza woda zdrojowa, ale powiedzcie nam, gosposiu, ile też roli posiadacie w tej wiosce?

— Trzy łany, miłościwy panie, według nadania rodzica waszej miłości.

— I wystarcza to na wasze potrzeby?

— Gdy więcej niema, musi wystarczyć, a potem, od czegóż są te ręce i trochę mózgu w głowie?

— Jakże się wam darzy na gospodarstwie?

— Byłoby dość nieźle — odrzekła Korębska — gdyby oni aby w parę lat chcieli w domu posiedzieć. Ale takie to sprzeczne natursko, że jak powrócą z wojny, a trzeba albo pługi opatrzyć, albo pójść zajrzeć, jak też zorali parobki, to ich na to ani napędzić. Niech ino przyjdzie list książęcy na wojnę, albo w trąbkę myśliwską uderzą: to już ci za drzwiami. Masz-li ta rola być wdzięczną, która nigdy gospodarza nie widzi?

— Dobrze mówicie — rzecze na to Bolesław.—

Przyrzekam wam, że to już wojna ostatnia za życia naszego. Jeśli cali wrócimy, będziemy gospodarzyć obadwa my w Kaliszu, a wasz mąż w Korąbiu, ale na sześciu łanach, z których trzy w nagrodę waszej gościnności nadać wam przyrzekamy.

— Ach, miłościwy książę — zawołała Korębska ze łzami — my i nasze dziatki będziemy się wam wysługiwali do grobu. Ależ nie wstawajcie jeszcze od naszego ubogiego stołu. Snać wam nie smakują pierogi.

— Dobre są — rzecze Bolesław — lecz dosyć się jadło i już nam w drogę potrzeba.

— Jeszcze aby chwil kilka — poczęła znowu błagać Korębska. — Jeszcze i konie nie popasły i moje dzieweczki nie przypatrzyły się dosyć temu młodemu książęciu. O, mój Boże! może on będzie kiedy naszem książęciem lub królem!

— Pozwólcie — odezwał się, wstając Bolesław — abyśmy dziękując wam za pożywienie, zostawili mały upominek waszym nieszpetnym dzieweczkom. Te dwa pieniądze, wybite na pamiątkę wesela Mieczysława z Dąbrówką i zaprowadzenia świętej wiary naszej do Polski, niechaj im przywodzą na pamięć bytność naszą w tym domu. Co zaś do tego chłopeczka z biczykiem, skoro podrośnie, przyszlijcie go nam do Kalisza, a my go własnym kosztem czytać i pisać nauczyć każemy. Jeśli zaś będzie pojętnym, to i po łacinie przy szkole kościelnej poduczyć się może. Teraz zaś — zawołał Bolesław, obracając się do służby — bracia do koni!

— Dozwól, miłościwy książę — rzecze stary Lasota — ażeby wam przed opuszczeniem tej chaty

stoletni blizko starzec udzielił swego błogosławieństwa i wynurzył ostatnie serca swego życzenia. Bolesławie! książę wielkopolski na Kaliszu i Gnieznie, niech cię Bóg ojców naszych wiedzie szczęśliwie po śliskich i stromych ścieżkach tego żywota. Niech w każdej dobrej sprawie zwycięztwo towarzyszy twej broni, niechaj do najpóźniejszej starości ludy, berłu twemu poddane, nie przestają cię wielbić, jako pana i dobroczyńcę swojego. A gdy ci niebo odmówiło z płci męzkiej potomka, niech ci twe córy w wnukach i prawnukach sławnych z cnót i dzielności książąt wydadzą. Niech plemię twoje rozrodzi się tak jak gwiazdy na niebie. Boś ty był więcej niż ojcem, niż panem ludu twojego; boś nie podnosił oręża, jedno na obronę ojczystych granic i uciśnionych niewinnie rodaków; boś nie pogardził ubogim ziemianina chlebem; boś letniego i już stojącego nad grobem sługę do serca twego przytulił.

Łzy się puściły z oczu staruszka, gdy te słowa domawiał. Wzruszony Bolesław uściskał go powtórnie i z serca. Uściskał on podobnież gospodynię domu, a przeżegnawszy dzieci, wsiadł śpiesznie na konia i opuścił to wiejskie ustronie.

— Pamiętajcie ten dzień, dziatki moje, do zgonu — rzekła Korębska — w którym pan wasz i książę zaszczycił swą obecnością tę strzechę ubogą: a Ty, Boże potężny, błogosław naszym książętom!

— Cóż mówisz, Władysławie? — odezwał się Bolesław po długiej chwili milczenia. — Jakież wrażenie ci dobrzy ludzie na twym umyśle sprawili?

— Ach, miłościwy książę — odpowie wzruszony młodzieniec — za ten dzień jeden panowania wa-

szego chętniebym lata zwycięztw i tryumfów zamienił. On mnie przekonał, jak snadno mogą monarchowie tego dostąpić, co ich szczęście stanowić powinno, to jest błogosławieństwa ludu swojego.

— Snadno byłoby to każdemu — odpowiedział Bolesław — gdyby chęć szczera wspierana była Boską pomocą. Są, którzy tego pragną, a przecież dostąpić nie mogą; bo słusznie powiedziano, że na próżno budują ludzie, jeśli Pan nie przyłoży swej ręki. Dlatego ucz się od młodości wszystkie twe sprawy poczynać od Boga i wszystkie do Boga odnosić. On tylko jeden obdarza łaską, bez której chęci są niczem. Nieraz już mi się wydarzyło używać słodyczy z błogosławieństwa ludu mojego, przecież to, com usłyszał od tej poczciwej a rozsądnej niewiasty o ustawicznych wojnach, które toczyć przymuszony zostałem, było dla mnie wielką nauką. Tak jest, wojna na którą śpieszymy, będzie ostatnią w mem życiu.

Prędko schodziły godziny na rozmowach i przestrogach, które letni i doświadczony Bolesław młodemu i pełnemu szlachetnych chęci udzielał Władysławowi. Minęli Chocz i kilka pomniejszych włości; jeszcze nie zachodziło słońce, gdy się do Zagórowa zbliżyli. Z podziwieniem ujrzał tam Bolesław poczet swych kopiowników nadwornych. Przezorny Grzymała, jakby zgadywał, że Bolesław bliższą ku Słupcy uda się drogą, wyprawił dwudziestu ludzi z powodnemi końmi dla ułatwienia podróży książęciu. Miła była ta baczność starego wodza umiejącego ją ocenić panu i pewnieby z niej korzystał, gdyby dowodzący tym pocztem namiestnik nie uwiadomił, że wojsko pod wodzą kasztelana kaliskiego nazajutrz

dopiero stanąć mogło u Słupcy. Dlatego Bolesław, choć mu sił i ochoty nie brakło, chociaż wschodzący księżyc zachęcał do drogi, wolał przecież zatrzymać się w Zagórowie na nocleg. Nazajutrz, wyprawiwszy gońca do poznańskiego wojska, razem prawie z Grzymałą stanął u Słupcy i razem z nim ruszył następnie ku Gnieznu. Tam zastał Bolesław Przedpełkę, chociaż ten już poznańskie wojsko ku Nakłu wyprawił, lecz sam wstrzymał się dla powzięcia dalszych Bolesława rozkazów. On zawiadomił kaliskiego książęcia, że Krzyżacy, wierni Brandeburczyków sprzymierzeńcy, już ich byli ostrzegli o powstającej burzy od Wielkiejpolski, i że Konrad, margrabia, zebrawszy dość liczne wojsko, miał zamiar zapobiedz drogę Polakom od Wisły, a wiedząc, że oddzielnie postępuje rycerstwo poznańskie, a oddzielnie kaliskie, pałał chęcią uderzenia na pierwsze, nim się drugie zbliżyć ku niemu potrafi; nakoniec obwieścił, że Otto, brat Konrada, margrabia, zaopatrzył rychło żywnością i ludem gdańską warownię i przedsięwziął bronić Mestwinowi połączenia się z kaliskim książęciem, dlatego trzymał go zawdy na wodzy.

Te nowiny były pobudką do zmienienia rozkazów. Wstrzymano pod Nakłem śpieszny pochód poznańskiego żołnierza, a przyśpieszono ciągnienie wojska pod wodzą Grzymały, które miało wypoczywać u Gniezna, a gdy się już zeszły te oba oddziały, postanowił Bolesław ciągnąć dalej połączonemi siłami. Ta przezorność okazała się bardzo przydatną. Gdy się albowiem wojska polskie ku Wiśle zbliżyły, powzięto wiadomość, że Konrad, margrabia, czatował na nie w blizkości Nowego Miasta, przezwanego od

Niemców Neuburgiem, spodziewając się uderzeniem na poznański oddział uprzedzić przybycie kaliskiego książęcia. Zawiodła go płocho utworzona nadzieja. Odebrawszy atoli ostatniej nocy tajemną pomoc od Krzyżaków, ze dwóchset ludzi ciężko uzbrojonej jazdy postanowił zakosztować bitwy i przeświadczyć się o sile Polaków.

Z jakąż rozkoszą usłyszał Władysław pierwsze dźwięki trąby wojennej, wzywającej do boju! Jakże się cieszył, gdy mu Bolesław dozwolił w przedniej potykać się straży! Już się były zwarły pierwsze zastępy.

Ulegli Niemcy pod natarczywością Polaków. Lecz gdy ci z małą siłą zapędzili się za tymi, którzy tył podali, oskoczeni raptownie od ciężkiej jazdy Krzyżaków, wkrótce błąd swój i całe niebezpieczeństwo poznali. Właśnie w tę porę nadbiegał Władysław ze swoją chorągwią i w okamgnieniu pewnych już zwycięztwa Niemców rozproszył. Dowódzca ciężkiej jazdy długo się bronił z uporem. Polegli przy nim najwaleczniejsi rycerze. On sam, jak skała, o którą się rozbijają szturmy wiatrów i burzy, nie dał się z miejsca ruszyć nikomu. Przypada Władysław i z wielkiem podziwieniem poznaje w nim Konrada de Tierberg.

— Jakiem prawem — zawołał — podniosłeś oręż na będących w pokoju z twoim Zakonem Polaków?

— Tem samem prawem, jakiem śmiecie wojować naszych sprzymierzeńców i kusić się o ustąpione nam dzierżawy—odpowiedział komendor.

— Wystąp do walki sam na sam — rzekł z uniesieniem Władysław — a spełni się to, czegoś podczas kaliskiego turnieju zapragnął.

— Dobrze — odpowie krzyżak — ale wkrótce pożałujesz twego zuchwalstwa.

Już się mieli zmierzyć gotowym do uderzenia orężem, już zapalczywość wzajemna roziskrzała ich oczy, gdy rycerstwo tak jednej, jak drugiej, strony, skoczywszy pośrodek, nie dopuściło tej walki. Wszczęła się bitwa powszechna. Wtem Konrad, brandeburski margrabia, spostrzegłszy przewagę rozwijającej się u Polaków siły, dał znak do odwrotu. Długo ścigali Polacy nieprzyjaciela bez znakomitego skutku. Nakoniec lasy obszerne i noc spadająca założyła tamę ich wojennej ochocie. Cofnięci Niemcy ku Gniewu przeprawili się nocą za Wisłę, zostawiając wojsku Bolesława swobodną do Gdańska drogę.

Zawiadomiony o skutku tej rozprawy Otto, margrabia, cofnął się podobnież w głąb marchii. Gdy więc Mestwin, książę pomorski, złączył się z Bolesławem, oba wojska obległy Gdańsk wspólnemi siłami od lądu i morza.

ROZDZIAŁ VI.

Oblężenie Gdańska.

Miasto Gdańsk, tak słynne w ostatnich czasach ze swego handlu, bogactw i obronności posady, w końcu dwunastego wieku było już dosyć zamożną stolicą marchii Gdańskiej, czyli raczej Pomorskiego księztwa. Wiadomo jest czytelnikom, jakim sposobem przeszło w moc brandeburskich margrabiów. Niniej-

szy rozdział określi pokrótce dzieje oblężenia i zapamiętałej obrony tej twierdzy w r. 1272.

Stał zamek gdański od południa miasta na wyniosłej górze, którą już wówczas zwano górą gradową. Miasto samo leżało na płaszczyźnie ku morzu. Tamten był mocnym wyniosłością posady i drewnianemi wprawdzie, lecz zewsząd gliną oblepionemi murami. Szerokie przekopy, przez które wody Wisły i Motławy w każdym czasie wpuścić można było, zasłaniały miasto lepiej od wałów. Najprzód więc obmyślono sprowadzanie łodzi szerokich, na których usadowieni ludzie piesi, włóczniami i strzałami uzbrojeni, bronić mieli wszelkiego przystępu do miasta. Następnie zajęto się sporządzeniem kusz ogromnych, z których ciskane kamienie i kłody tłuc miały mury, a puszczane z ich wyniosłości dziryty i strzały razić uszykowanych na murach obrońców. Jan Grzymała, kasztelan kaliski, miał sobie poruczone około tych narzędzi starranie. Mestwin wziął na się dostarczenie łodzi i zamknięcie miasta od wody. Władysław przednim czatom, Przedpełko głównemu wojsku dowodził, nie spuszczając z oka baczności na mogące nadciągnąć oblężonym posiłki. Bolesław wszystkiem kierował i był duszą całego przedsięwzięcia.

Z niemałą pracą wzniesiono trzy kusze ogromne, z których środkowa przechodziła swą wyniosłością mury warowni, wszystkie zaś miały się razem zbliżyć do twierdzy. Gdy chroniący się na odgłos pochodu wojsk polskich Brandeburczycy popalili łodzie i wszystkie drzewo zdatne do budowy, potrzeba było szukać onego i sprowadzać je z przyległych lasów i włości. Pomimo tak wielkich trudności i za-

biegów, ujrzeli w dniu czwartym oblężeni gotowe kusze i podsunięte pod nie dębowe walce. Trwoga blizkiego szturmu przyczyniła im śmiałości. Postanowiwszy niezwłoczną uczynić wycieczkę i grożące im narzędzia spalić albo zepsować, tej samej nocy wyszli z twierdzy w największej cichości i porządku. Mestwin trzymał w dniu tym z kolei dowództwo obozu i dozór ogólny robót, do oblężenia służących. Lecz właśnie dla tajnej wszystkim przyczyny oddalił się do swojego obozu, poruczywszy władzę nad przedniemi strażami namiestnikowi swojemu. Ten poszedł za wzorem książęcia tak dalece, że młody i niedoświadczony porucznik stał się dowódcą najważniejszego oblężeńców stanowiska. Postępujący w cichości Brandeburczycy zdumieli się, spostrzegłszy nadzwyczajną nieostrożność wzdłuż polskiego obozu, a sądząc, że to wynikło wskutek wojennego podstępu, wahać się poczęli, czy postępować dalej, czy się wrócić do Gdańska. Jeden z nich, śmielszy od innych, dotarł aż do kusz przygotowanych i stojącego przy nich żołnierza sztyletem życia pozbawił. Tym zachęceni przykładem i inni zbliżyli się w niemałej liczbie pod same narzędzia, których sporządzenie tak wiele kosztowało trudów i pracy. Już ogień krzesać poczęli, już zgromadzali palne, a będące w pogotowiu narzędzia, gdy Bolesław, wstawszy dnia tego na dwie godziny przed świtem, wyszedł z namiotu samowtór ze swym giermkiem dla przeświadczenia się o czujności rozstawionych po obozie straży. Właśnie zbliżał się ku miejscu, gdzie stały kusze. Poczuł on szmer głuchy, który się ztamtąd rozlegał i wstrzymał się nieco, chcąc dokładniej, coby to było,

rozpoznać. Wtem giermek jego spostrzegł krzesanie ognia.

— Nieprzyjaciel! — zawoła głosem przerażenia i trwogi.

— Nieprzyjaciel!—powtórzyły czuwające w obozie straże.

Bolesław, radząc się jedynie męztwa swojego, poskoczył ku kuszom z dobytym orężem. Pomimo ciemności nocy, ogień, który Brandeburczycy usiłowali rozniecić, odkrył Polakom kilkunastu zbrojnych ludzi przy kuszach. Zewsząd zbiegało się polskie rycerstwo. Wszczęła się walka. Silniejszy nieprzyjaciel zaczął zrazu przemagać i już widziano dość silny ogień ogarniający najwyższą kuszę. Bolesław wołał na swoich i pierwszy rzucił się ku zagrożonemu miejcu. Jego przyrodzona odwaga byłaby pewnie przyczyną niechybnej zguby, gdyby w tej chwili nie nadbiegł Władysław. Z obu stron walczono zawzięcie; noc dodawała okropności tej bitwie. Zmieszani Brandeburczycy poczęli rozpaczać o skutku swej wycieczki, gdy siły Polaków pomnażały się co chwila. Niebawem przygaszono ogień, odparto Brandeburczyków i pod same mury ścigano. Z trudnością dał się odciągnąć od walki Władysław. Lecz głos kaliskiego książęcia przeważył nad jego zapałem. Rychło ostrzeżony o niebezpieczeństwie Mestwin, starał się to wynagrodzić męztwem, co zaniedbaniem na szwank naraził. Dzień powstający zakończył walkę. Wtedy Bolesław spostrzegł z żałością niemało ciał pobitych z wojska swojego rycerzy i zmierzył cały ogrom nieszczęścia, jakieby spaść mogło na obóz polski, gdyby go szczęśliwy traf nie wyprowadził

z namiotu. Strapiony Mestwin, oprócz wyrzutów przekonania własnego, straszliwszą i dolegliwszą zniósł karę w milczeniu kaliskiego książęcia, gdy go pierwszy raz spotkał po tem nieszczęśliwem zdarzeniu.

Nazajutrz podsunięto kusze pod mury. Ale pomimo wielkiej ilości strzał, które z ich szczytów do miasta puszczono, pomimo nieustannej pracy w tłuczeniu murów kamiennemi i okowanemi kłodami, żadnej widocznej korzyści nie odnieśli Polacy.

W szóstym dniu oblężenia, na usilną Władysława prośbę, dopuścił Bolesław pokusić się szturmem o zdobycie gdańskiej warowni. Uszykowano rot siedm, każda z nich oddzielne przeznaczenie, każda miała innego dowódcę. Wszystkim przywodził Władysław. Przezorny Bolesław przydał mu w pomoc Grzymałę i polecił jego doświadczeniu i radom kierowanie krokami żywego a walecznego młodzieńca. Mniemano powszechnie, że osłabieni spełzłą wycieczką Brandeburczycy i mniej spodziewający się stanowczego ze strony Polaków przedsięwzięcia, nie zdołają wytrzymać silnego natarcia. Nad ranem wszystkie roty stanęły do boju w jak najprzykładniejszym porządku. Niesiono w cichości równe murom drabiny, mnóstwo siekier, toporów, oskardów. Głuche milczenie panowało na całej przestrzeni morskiego wybrzeża. Niecierpliwy Władysław pałał żądzą, ażeby pierwszy mógł wskoczyć na mury. Letni Grzymała towarzyszył mu wszędzie. Przystawiono w cichości drabiny. Już mężni Polacy po silnych szczeblach poczęli się dostawać na mury, gdy znagła spadł na nacierających tak rzęsisty grad strzał i ka

mieni, że wkrótce poznano, iż cichość panująca dotąd wśród twierdzy była tylko pozorną cichością. Późniejszy czas odkrył, że właśnie w chwili przygotowań nocnych do szturmu ocierał się o obóz polski wysłaniec krzyżacki, a dociekłszy przyczyny, ostrzegł w porę Brandeburczyków o grożącej im burzy. Dlatego znaleźli ich Polacy dobrze gotowych do najdzielniejszej obrony.

Nie dał się zrazić pierwszym wstrętem Władysław. Zebrawszy przeto dwie od murów odparte roty, kazał im ścisnąć się mocno i okryć głowy tarczami. Wydano hasło do powtórnego natarcia. Nie zawiedli nadziei swego młodego przywódcy Polacy. Nakształt ruchomej masy podstąpili pod mury w porządku i darli się na wyścigi po stojących jeszcze drabinach. Lecz oblężeni, spostrzegłszy razem ze wschodzącem słońcem grożące im niebezpieczeństwo, spuścili wielką ilość kłód dębowych z murów, które pospychawszy ludzi, wszystkie prawie zgruchotały drabiny. Niemałą klęskę ponieśli w tem miejscu Polacy.

Z innej strony rota Zaręby zaledwie nie zdobyła najwarowniejszej bramy, co byłoby pewnie pociągnęło za sobą opanowanie warowni. Lecz w chwili, gdy już szturmujący Polacy wznosili tryumfalne okrzyki, wysypała się część ludności Gdańska na mury, uzbrojona konwiami ukropu, wrzących olejów i smoły. Nagle lunęła ognista ulewa. Ci, co przeżyli wiele oblężeń i wojen, nic podobnego nie pamiętali do tej zaciętej obrony. Pierwszy do wszystkiego i wszędzie Zaręba, oblany i poparzony smołą, zagrzewał swoim przykładem i dzielną wymową.

Lecz nadaremne usiłowania i męztwo! A gdy już odgromiono nacierających od murów, tak silną uczynili Brandeburczycy wycieczkę z tej strony, że Zaręba po cudach odwagi i waleczności nareszcie raniony śmiertelnie, nie był już w możności zasłaniać swą osobą spiesznego, a ztąd niepoządnego odwrotu. Wtedy stary Grzymała zwrócił uwagę Władysława na niebezpieczeństwo, grożące z tej strony. Pędem piorunu poskoczył szlachetny młodzian na pomoc rozgromionemu poznańskiemu rycerstwu i tyle dokazał, że Brandeburczycy rannego Zarębę zostawili na placu i że bez zachwycenia jeńców powrócić musieli za mury. Wtedy Grzymała zniewolił Władysława do nakazania powszechnego odwrotu.

Zasmucił się mocno tą niepomyślnością Bolesław. Ciężyła ona kamieniem na sercu Władysława, gdy wspomniał, że na jego tylko usilne prośby roztropny Bolesław na to przedsięwzięcie zezwolił. Rany śmiertelne Zaręby, a ztąd obawa straty tak znakomitego rycerza, tkwiły mu przed oczyma ustawicznie. Dlatego zaledwie ucichła wrzawa wojenna, zaledwie uszykowano odparte wojsko w obozie, gdy Władysław, niecierpliwy wiadomości o zdrowiu i życiu Zaręby, pobiegł skwapliwie do jego namiotu. Raniony i wybladły z krwi postradanej rycerz, spoczywał na rozciągniętej rogoży. Tuż przy nim znajdował się sędziwy lekarz, który opatrzywszy głębokie rany, utopił oko pilnego badacza w chorego. Słudzy i przyjaciele stali w głębokiem milczeniu. Ich niespokojne wejrzenia zdawały się badać równie chorego, jak i lekarza: jest-li jeszcze jaki promyk nadziei? Lecz doświadczony w swej sztuce starzec przez nie-

ruchomą prawie postawę wszystkie ich usiłowania niweczył. Przerywały niekiedy tę ciszę jęki bolesne, lecz przytłumione, nieszczęśliwego Zaręby. Wtedy lekarz rachował z natężoną uwagą każde uderzenie pulsu chorego i wszystkie swe mniemania w głębokiem zanurzał milczeniu. Wstąpił na palcach do namiotu Władysław i zrazu o nic się nie śmiał zapytać. Nakoniec wziąwszy lekko za rękę lekarza:

— Cóż się dzieje?—spytał.

— Nic stanowczego wyrzec nie można—odpowiedział podobnymże głosem.

— Jestże rana jego śmiertelną?

— Czas to dopiero okaże.

— Mogęż z nim mówić, mogęż mu jaką przynieść pociechę? — znów zapytał Władysław.

— Niepodobna — rzekł lekarz — jeżeli rany nie są śmiertelne, byłoby niem każde mocniejsze wzruszenie.

— Cóż więc mam zanieść kaliskiemu książęciu? — odezwał się znów Władysław.

— Że zachod słońca stanowić będzie między życiem i zgonem.

— Czegóż się obawiacie, poważny lekarzu, a w czem pokładacie nadzieję? — rzecze Władysław.

— Obawiamy się silniejszej niż dotąd gorączki; w spokojności umysłu i ciała ufność naszą kładziemy.

Z sercem przeciążonem boleścią oddalił się Władysław z namiotu Zaręby. Zastał on Bolesława w niepośledniejszych pogrążonego troskach i określił mu stan ranionego rycerza.

— Wielkaby to była strata dla Polski — zawołał książę kaliski.

— I dla serca naszego — odpowiedział Władysław.—Ach, miłościwy panie, pocóżeście zezwolili na to nieszczęśliwe natarcie?

— Naucz się ztąd młody książę — rzecze Bolesław — że nie zawdy śmiałe przedsięwzięcia szczęśliwy uwieńcza skutek. Roztropność powinna być pierwszą dobrego wodza zaletą. Jedna krwi kropla marnie przelana jest ciężkim długiem na sumieniu tego, który przez niewczesny zapęd lub źle wyrachowane rozkazy stał się jej straty przyczyną. Wyznaję, że powinienem był szturm odparty jeszcze do dni kilku odłożyć. Mamy sześćdziesiąt ośmiu zabitych, a stu trzech ranionych rycerzy.

— Ach dlaczegóż — zawoła Władysław — nie jestem w liczbie pierwszych lub drugich!

— Te uczucia — odpowie Bolesław — czynią zaszczyt sercu waszemu. Lecz Bóg wszystkiem rozrządza. A jeśli bez Jego woli żaden włos z głowy człowieczej nie spadnie, ufajcie mocno, że dni wasze do innych, a może do wyższych celów przeznaczyła Opatrzność. Ci, co polegli, śmiercią szlachetną skończyli. Ci, co zostali, może na cięższe próby skazani są w tem życiu.

— Lękam się jednak, miłościwe książę — odezwał się Władysław — ażeby osłabienie sił naszych...

— Nie lękajcie się niczego — przerwie Bolesław — mamy jeszcze dostatek siły ku dopięciu naszych zamiarów. Ale należy nam postępować przezornie, prócz tego nadciągają nam z Wielkiejpolski posiłki. Jeszcze przed rozpoczęciem oblężenia wydałem rozkazy, ażeby reszta poznańskiego wojska

zbliżała się ku Gdańsku śpiesznym pochodem i już mię doszła wiadomość, że synowiec nasz Przemysław jest w drodze ku dolnej Wiśle. Rad będę, że to młode książę znajdzie się z nami ku wspólnej potrzebie. Bo jeśli się nam w zdobyciu Gdańska poszczęści, myślimy oddać mu dowództwo całego wielkopolskiego rycerstwa, dla wydarcia Brandeburczykom Santoka i Drzenia. Nie chciałbym zstąpić do grobu bez odzyskania tych od Wielkiejpolski odszywków.

Przybył Grzymała i doniósł, że oblężeni rozpoczęli rokowania o poddanie miasta i twierdzy. Utrudzony Władysław oddalił się do swego namiotu. Nazajutrz powziął z radością lepszą o zdrowiu Zaręby otuchę. Nie wzmogła się przez noc gorączka, lecz rany jego długiego i pilnego wymagały starania, a coraz ostrzejsze wieczory i poranki nie dozwalały mu pozostać w obozie. Wszakże gdy rokowania o poddanie Gdańska speizły na niczem, wezwano wszystkich dowódców rot i chorągwi do namiotu Bolesława dla narady względem dalszych działań wojennych i postanowiono raz jeszcze z większą siłą pokusić się o zdobycie twierdzy i miasta orężem.

Przez trzy dni i noce trwały przygotowania do nowego szturmu. Wystawiono dwie nowe kusze, a zgromadzone z okolic wieśniactwo pracowało z wojskiem nad przysposobieniem drabin, łaszyn i worów. Ranny Zaręba z wielkim żalem całego rycerstwa oddalony został z placu zapasów do Tczewa. Odprowadzał go o dwie mile od Gdańska Władysław i chciał mu towarzyszyć aż do miejsca, ale przygotowania do szturmu, który miał nastąpić nazajutrz, kazały mu wracać do polskiego obozu.

Już spostrzegł osiadłą na górze twierdzę, już widział bielące się zdaleka polskie namioty, gdy wtem pędzącego za sobą jeźdźca usłyszał. Poznał on w nim komornika brata swojego Leszka, sieradzkiego książęcia.

— Zkąd i gdzie tak spieszno dążycie, miły Zdzisławie? — zapytał, wstrzymawszy nieco konia.

— Z Krakowa — odpowiedział mu zapytany — do was, miłościwy panie, spieszymy, jaka zaś nas przywodzi potrzeba, lepiej się z tego pisma dowiecie.

— Ręka brata naszego — rzecze Władysław. — Nieba! więc Bolesław książę krakowski, pan i dziedzic polskiej monarchii...

— Wstąpił do grobu — odpowiedział zdyszany Zdzisław—a brat wasz, miłościwe książę, zasiadł na jego miejscu polską stolicę i wzywa was do rychłego widzenia się z sobą w Krakowie.

— Trzebaż było — odezwie się Władysław — aby to smutne poselstwo doszło nas w tę chwilę, w której żadnym sposobem woli brata i monarchy naszego dopełnić nie możemy?

— Miłościwy panie — mówił dalej komornik — rzecz ta nie cierpi odwłoki. Nieprzyjaciele nasi czuwają, ażeby świeżo z monarchy ogołocone państwo zawichrzyć. Przyszłe następstwo tronu jest nader ważnym dla was i dla brata waszego przedmiotem, od pośpiechu w działaniu wszystko zawisło. I chwili do stracenia nie mamy. Z rozkazu książęcia, wszystko jest w pogotowiu do waszej podróży, konie rozstawne co trzy mile czekają.

— To nie jest podobna—zawołał Władysław— abyśmy tak rychło wojsko i Bolesława opuścić zdołali. Śpieszmy do obozu, a tam uradzimy o reszcie.

Późno już było, gdy Władysław wszedł do namiotu kaliskiego książęcia. Udzielone mu wiadomości dotknęły głęboko skłonne do uczuć szlachetnych serce. Radził młodemu książęciu, aby natychmiast dopełnił woli brata i monarchy swojego.

— Wiadomo wam — rzecze — kochany Władysławie, w jakich niebezpieczeństwach zostaje ciągle nasza ojczyzna. Ledwie odetchnęła z okropnego Tatarów napadu, jużci, podług doniesień Leszka, grozi jej wojna z Litwą i Rusią. Brat wasz, nie dosyć utwierdzony na tronie, potrzebuje wsparcia waszego przeciw wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjaciołom. Kto wie, czyli nam kiedy wyrzucać nie będzie, żeśmy zezwolili na wspólnictwo wasze w tej wojnie. Nareszcie Leszek, a dzisiejszy nasz monarcha, jest bezpotomnym. Jego małżonka Gryfina niebardzo wam sprzyja podobno. Jakkolwiek jest ona naszą blizką pokrewną, prawda nakazuje nam ostrzedz, że z Rościsława ojca odziedziczyła całą nienawiść, jaką ku nam plemię jego oddycha, a obok tego znamy wszyscy ślepe do niej przywiązanie brata waszego. Uprzedzić wypada wszelkie o następstwo tronu zabiegi. Tak bytność wasza w Krakowie jest nieuchronną równie dla waszego, jak i dla powszechnego pożytku. Nie traćcie czasu. Ufamy przecie, że po drodze zechcecie wstąpić do Kalisza i uwiadomić naszą ukochaną małżonkę o tem, co się tu dzieje z nami.

Jeszcze pół dnia raczcie nas ścierpieć — odpowiedział Władysław. — Jutro po skończonej potrzebie udamy się bez omieszkania tam, gdzie nas wola monarchy i rady wasze, szanowne książę, wzywają. Mógłżebym odstąpić was w chwili stanowczego przed-

sięwzięcia tej wojny? Jeżeli jest powinność, która mię woła gdzieindziej, są także dla mnie dawniejsze i świętsze rozkazy, abym w niebezpiecznych razach na krok nie odstępował boku waszego. Chcecież mi, miłościwy panie, zazdrościć szczęścia i chwały, które w dzieleniu prac waszych i niebezpiaczeństw, równie jak w nadziei pomyślnego ich skutku, przeczuwam? Ach! tak jest, jutro tylko i tylko do południa — a wreszcie niech się wola Boża spełni nad nami.

Widząc Bolesław daremną walkę przeciw niezmiennej Władysława ochocie, zezwolił na jego żądanie, pod tym jednak warunkiem, że nazajutrz w południe, czyli się szturm do Gdańska powiedzie, czyli odpartym zostanie, niewątpliwie uda się do Krakowa. Leniwo schodziły dla Władysława wszystkie tej długiej nocy godziny. Rozrządziwszy dowództwem chorągwi Brześcia na przypadek oddalenia się swojego, chciał, lecz nie mógł użyć spoczynku. Ledwie kur zapiał powtórnie, udał się uzbrojony do namiotu kaliskiego książęcia, pewny że go już gotowego zastanie do blizkiej potrzeby. Jakież było jego zdziwienie, gdy wszystko wkoło znalazł głębokiego używające spoczynku, jaki żal, gdy powziął z ust Grzymały, który sam jeden czuwał w tej chwili, że Bolesław szturm przygotowany do dnia jasnego odłożył, nie chcąc powierzać ciemnościom nocy swoich dojrzale wyrachowanych zamiarów. Wyszedł nareszcie wraz ze dniem z namiotu książę kaliski, a powitawszy Władysława i zebranych rotmistrzów, udał się z nimi na Mszę świętą, która się w przyległym odprawiać miała namiocie. Po tej skończonej, siadł na koń z otaczającem go rycerstwem, a wszyscy, śpiewając

2351

starożytną pieśń ojców *Boga rodzica dziewica*, rozpoczęli podług wziętych rozkazów wojenne działania.

Spostrzegli Brandeburczycy, w Gdańsku zawarci, że ta burza, która się zwolna i stopniami zbliżała, niosła w swem łonie zgubne dla nich pioruny. Mury twierdzy i dachy domów okrywały się spiesznie gotowym do walki i obrony narodem. Niewiasty nawet, zagrzane mężów przykładem, tłoczyły się z powierzoną ich rękom i dotąd tak skuteczną bronią, to jest z konwiami wrzących olejów i smoły. Mestwin, dla którego dobra toczyła się ta krwawa wojna, Mestwin, który dotąd swojego zaniedbania i wynikłej ztąd klęski gorzko żałował, nie dał się w stanowczej chwili nikomu ani w gorliwości, ani też w męztwie wyprzedzić. Gdy Bolesław, Przedpełko i Grzymała, podsunąwszy pod mury kusze i inne znane wówczas ku dobywaniu twierdz narzędzia, tłukli zwolna mury gdańskiej warowni; gdy ich roty podsuwały się w niezachwianym porządku, mało bacząc na miotane pociski i strzały, tymczasem książę pomorski, wysadziwszy swój lud z łodzi i połączywszy z nadciągającemi od obozu rotami, tak silny szturm do miasta przypuścił, że nie upłynęło godziny, a bramy zostały wybite i okropna wśród ulic rozpoczęła się walka. Pokonani Brandeburczycy uciekali do twierdzy, której załoga tym sposobem zwiększona, czyniła obawę długiego i zaciętego odporu. Gdyby Mestwin zdołał był w sprawionym szyku ścigać uciekających ku murom warowni, byłby może wszedł wraz z nimi przez otwarte bramy. Ale nadzieja łupów w zamożnem już podówczas mieście całe jego wojsko rozproszyła po domach i gmachach. Wybijano drzwi mieszkań

i sklepów; nie przepuszczano tym, którzy się znaleźli na drodze rozhukanego pomyślnością żołnierza, a nagromadzone zapasy tęgich napojów pozbawiły zupełnie karności i porządku zwycięzców. Tym sposobem żadnej prawie pomocy nie miał Bolesław z Mestwinowego wojska, owszem, wśród najgorętszego szturmu musiał oddzielić Przedpełkę z nieszczupłym ludem dla powściągnienia swawoli i przywrócenia w mieście porządku.

Trzy były znakomitsze bramy, które opanować należało, chcąc zdobyć siłą gdańską warownię. Położona od południa najmocniejszą się wydawała i tej wybicie wziął na siebie Bolesław. Ku wschodniej zmierzał z rozkazu książęcia Grzymała. Zdobycie najmniej warownej, a położonej na zachód, poruczone zostało Władysławowi.

Zsiadł z konia sędziwy Bolesław, zbliżając się ku murom, pomimo gradu strzał i pocisków, a porwawszy topór: za mną dzieci — zawołał. Niebawem dopadł do bramy, którą zasłonięty od wszelkich ciosów, począł krzepką ręką rąbać dębowe i mocno żelazem okute zapory. Za jego wzorem poszło kaliskie rycerstwo. Porąbana brama dała wkrótce otwór do twierdzy. Pierwszy Bolesław z żywością młodzieńczą wpadł za mury i z garstką swoich począł zaciętą z Brandeburczykami walkę. Chodziło im o śmierć lub życie. Odrzuciwszy podane przed trzema dniami warunki, poznali nierychło, jakiego nieprzyjaciela gniew na siebie ściągnęli. Dlatego dobywszy sił ostatnich, każdej piędzi ziemi do upadłego bronili. Przerzedziły się znacznie wprowadzone przez Bolesława szeregi. Nie nadchodziły posiłki;

szturm do bram innych silniejszego nadspodziewanie doznawał oporu. Wzmogli się Brandeburczycy w męztwo.

— Zawrzyjcie bramę! — zawołał głosem donośnym dowódzca walczącego z Bolesławem oddziału.

Natychmiast przed nadbiegającemi książęciu posiłki spuszczono żelazne rogatki i silne kłody drewniane zatoczono przed bramę.

— Poddaj się, poddaj — krzyczano na Bolesława, ale waleczny starzec, jak dzik oskoczony przez nacierających myśliwców, z dwudziestu pozostałymi przy swym boku ludźmi odpierał całą natarczywość zewsząd bijących na niego Brandeburczyków.

Poległo naokoło niemało nacierających! lecz w końcu siły odbiegać go poczęły. Omylony w nadziei blizkiej i pewnej pomocy, już postanowił w duszy drogo dni swe zaprzedać. Wtem głos mu dobrze znany: Za mną bracia, za mną w tę stronę!—obił się o uszy ledwie już dychającego, zawsze jednak walczącego książęcia.

Był to Władysław, który straciwszy niemało czasu na dobywaniu wschodniej bramy, w samą porę nadbiegł dla oswobodzenia upadającego na siłach Bolesława. Rozpoczęła się walka rozpaczy i zemsty; zakończyło ją przybycie Grzymały, który, podobnież jak Władysław, znalazł niepośledni odpór przy zdobywaniu swej waleczności poruczonej bramy. Rzucali broń pokonani Brandeburczycy. Bolesław, odetchnąwszy przez chwilę, biegał wszędy, nakazując litość nad zwyciężonymi i ochraniając swą powagą smutne klęsk wojennych ofiary.

— Zbawco mojego żywota — zawołał, spotkawszy się z Władysławem — wypłaciłeś się sowicie za dane ci przestrogi w pierwszych wojennych potrzebach. Niechaj ci za to nadgrodzi Ten, który wszystko dzierży w swej mocy. Ale południe nadchodzi. Zabierzcie z sobą, kochany książę, dzięki nasze i powszechny szacunek, a ruszajcie co żywo w przeznaczoną wam drogę.

— Bywajcie zdrowi, szanowny książę; obym wkrótce mógł was uściskać! Oby nieba ochraniały długo drogie dni wasze, które poświęcacie szczęściu poddanych i bezkorzystnemu wspieraniu pokrewnych.

Te słowa wymówiwszy, Władysław uściskał rozrzewnionego starca i rzucił się na konia, pędząc wraz ze Zdzisławem przez obóz polski do dalszego celu przeznaczenia swojego. Tego dnia jeszcze Bolesław, przeglądając swoje rycerstwo, spostrzegł Korębskiego, który w ukończonej walce dwie zaszczytne, acz lekkie odebrał rany.

— Powróćcie do domu, waleczny bracie — rzekł książę — uwalniamy was tak, jak i wszystkich ranionych od dalszej służby. Na czole waszym nosicie chlubne świadectwo dobrze i dzielnie wypełnionych naszych rozkazów. Ten przywilej przeświadczy was, jak wdzięcznem je przyjęliśmy sercem.

Nadanie trzech łanów ziemi, podług przyrzeczenia książęcia kaliskiego, podpisane dziewiątego listopada 1272 roku w Gdańsku, przypominało obdarowanemu świetny w rocznikach jego życia wypadek, o którym z czułością wspominał dzieciom swoim i wnukom.

ROZDZIAŁ VII.

Podróż Władysława z pod Gdańska.

— Niech licho porwie tę zbójecką leśną i nocną służbę — rzekł jeden knecht do drugiego, przykładając do ognia jałowcowych gałęzi. — Wisła potężnie przybiera, wiatr świszcze, deszcz leje, jak z cebra, a my o chłodzie i głodzie już drugą noc czatujemy, bies tam wie na co, jak złodzieje na skrzynię okutą bogatego kutwy. Bądźcie zdrowi, ja ztąd prosto ruszam do Gniewa.

— Zwolna, zwolna — odezwał się knecht drugi. — Zapomniałeś, jak widzę, co to są fukle, kuny i stryczki. I jam tak zmókł jak pies i głodu dobrze przymarłem, a przecież powiem ci otwarcie, że jeśli mi jeszcze będziesz blazgonić, lub jeśli się na krok ruszysz od ognia, albo ci tą szablicą gębę zawrę, albo zbudzę śpiącego pod drzewem rycerza, a on cię po kościele gwizdać nauczy. Jaki mi gagatek! Dawnożeś to przybył z Malborga? Nie napchałżeś tam brzucha przynajmniej na miesiąc wybornemi szynkami i solonem mięsiwem; nie słychać-że jeszcze od ciebie zapachu czarnego piwa, któregoś musiał przynajmniej po pół beczki na dzień wypijać? I on jeszcze wydziwia! Gdybyś tak, jak ja, latał za komendorem z Prus do Litwy, z Litwy do Polski, z Polski do Niemiec, i gdybyś tylko przez tydzień słyszał ciągle groźny głos jego: a żywo, a hajże, a nuże, a dalej, a zawsze prawie o głodzie, oj poznałbyś dopiero, jaka to rogata w człowieku dusza, gdy ten do trudów nawyknie.

— I ja nie z masła — odpowiedział pierwszy. — Ale wolałbym do krocset katów bić się dzień i noc z pogaństwem; wolałbym szturmować do zamków i do domów; tluc, palić, zabijać, niżeli pod tym dachem z gałęzi gnić nie wiedzieć dlaczego w błocie. Rozumiałem, że zawczoraj skończy się nasza wyprawa. Gdym ujrzał pędzącego na koniu od Wisły owego polskiego lisa: aha! rzekłem do siebie, to jest zapewne nasz ptaszek; nie ujdziesz mi, pogański synu! On, dostrzegłszy mię zdala, nuż zmykać w prawo, ja za nim; nuż w lewo, ja za nim; nuż znów na drogę, ja za nim. Jużem go sięgał, jużem miał ułapić za wygoloną czuprynę, gdy ten mruk stary, co tam oto chrapi pod drzewem, przypadł i zawołał: halt! co robisz? nasz wiatr nie od tej strony wieje; puszczaj mi tego smyka, to nie jest dla nas zwierzyna. Wywinął się z rąk moich, jak piskorz, i tam gdzieś ku Gdańskowi poskoczył. Gdyby pozwolił przynajmniej zerwać mu kołpak ze łba; wynagrodziłbym sobie choć w części krwawą moją pracę.

— Słuchaj, ty próżny dzwonie — rzecze mu na to drugi — pleciesz sam nie wiesz co i dlaczego. Stul raczej gębę, bo twoje wykrzyki przeszkadzają mi baczyć na drogę; a wiesz, jak nam surowo przykazał dowódca przyledz w cichości i pilnować każdego, coby tędy chciał przechodzić lub jechać. Wreszcie dowiedz się o tem, że może tej jeszcze nocy sam komendor nadjedzie.

— Niech go tam jasny piorun gdzie do ścian zamku Malborskiego przykuje! — zawołał pierwszy. — Jak on się zjawi, dopieroż to będzie kweres. Kto tu był, czego chciał, co mówił, jak wyglądał, dokąd je-

chał i po co? A gdybyś mu raźno nie odrzekł, to cię natychmiast z góry twardą poczęstuje gandziarą. On ci to tego piwa nawarzył. On dybie na tę zwierzynę, Bóg wie nawet jakiego rodzaju; a gdy my ją jak psy wierne uchwycim, to będziem mieli za to gnaty. Gdyby te twoje przemądre krzyżaki aby lepiej knechtom płacily; ale oni sami tylko nadziewają srebrem i złotem kalety, tak, że już i miejsca na nie nie mają.

— Hola! o czem to rozprawiacie? — odezwał się obudzony rycerz. — Co tam słychać? gadajcie.

— Nic nowego — rzecze knecht, któremu przerwał mowę głos rycerza — wiatr dmie, deszcz leje, a wreszcie ani słychu o niczem. Podobno z całej naszej wyprawy będzie pudło; tylko zamiast gorzałki, której już nam zabrakło, napijemy się do syta wody, co ją niebo zbyt szumnie na nas wylewa.

— Milcz i czekaj, stary gderaczu — odpowie mu rycerz — twoja powinność słuchać, a nic nie mówić.

— Słuchać — odrzeknie — na to zgoda, bo do tegom się obowiązał, przyjmując waszą służbę, ale milczeć nigdy nie przyrzekałem, a choćbym i przyrzekł, zobowiązałbym się do tego, czego wypełnić nie mogę. Dobrze wam leżeć pod drzewem i pod tą burką, przez którą ani kropla deszczu nie przejdzie. Ale nam w tych pożyczanych brandeburskich opończach nie tak wygodnie znosić wiatry i słoty, które jakby umyślnie na doświadczenie naszej cierpliwości spiknęły się, odkąd wyruszyliśmy z Elbląga na tę tajemną wyprawę.

— A za cóżeś płatny, ty poganinie? — rzeknie z gniewem rycerz; — rozumiesz, że za twój jurgielt

nie dostałbym stu podobnych smyków? Jeszcze mi tylko mruknij, a wnet cię ztąd puśliskami odpędzić każę i pójdziesz natychmiast na bory i lasy.

— Ho! ho! — odpowie knecht spokojnie — nie tak tu nas mnogo, żebyście mieli tych rozpędzać, którzy wam mogą się przecie przydać. Kto wie, co wypadnie, a wtenczas możeby koło was samych nie było zbyt zdrowo. W końcu, co prawda, to nie grzech. Zaciągnąłem się na wojnę z Prusaki. Pókim pełnił to, do czegom się zobowiązał, miło było sercu i duszy. Hej wojna, wojna! to jest lube rzemiosło. Grzmią trąby, huczą kotły; ruszamy naprzód z szablą w ręku, pierzcha jak dym przed wiatrem pogaństwo. Dalejże rąbiemy, zabijamy, kalecczym. Tam oto jawi się wioska, wpadamy, a co na drodze, to nasze. Dobiegam starca, zabijam. Kłuję dzieci jak prosięta, nie oszczędzam matki jeżeli szpetna; jeśli zaś hoża i młoda, wlekę z sobą do obozu i jak najstaranniej ukrywam przed oczyma wszystkich braci rycerzy i komendorów, bo z tymi nie tak łatwa jest sprawa. A cóż jest za życie, krom wojny? Wstawaj przed słońcem; chędóż konie, swoje i cudze; jedź na musztrę i machaj po powietrzu szabliskiem; potem zamiataj kurytarze; potem kop i pracuj w ogrodzie, gdyby saraceński niewolnik; potem noś do stołu półmiski, a sam niczego nie tykaj; nie dogódźże jeszcze w czemkolwiek, fukle lub kuna.

— Ciszej, ty przeklęty gaduło — rzecze mu rycerz — słyszę, że ktoś nadjeżdża, do koni!

— Wer da! — zawołał jeden z knechtów, przekonawszy się istotnie o zbliżaniu się kilku jeźdźców.

— Freund — odpowiedziano mu zdaleka.

Na to hasło wyjechał na przód rycerz, któregośmy niedawno spoczywającego pod drzewem widzieli.

— Tyżeś-to, panie? — rzecze, spostrzegłszy przy pierwszym brzasku rozwidniającej się nocy znane mu rysy twarzy komendora.

— Poznałżeś nas bracie, w tem dziwacznem okapieniu? — odpowiedział Konrad de Tierberg.— Co tu słychać, jak stoją rzeczy, spotkaliżeście kogo, powzięliżeście jakiego języka?

Zsiedli z koni i poczęli z sobą rozmawiać pocichu, tak, że ani dwaj knechtowie, którzy stali przy ogniu, ani ci, którzy w liczbie czterech za komendorem przybyli, słyszeć ich rozmowy nie mogli. Po niejakiej chwili jeden z nich rzekł donośniejszym głosem:

— Ani wątpić, pewnie inną udał się drogą.

Ledwie te słowa dosłyszane zostały, aliści ujrzano śpieszącego na koniu knechta od strony północnej, który przypadłszy do stojących na ustroniu komendora i rycerza, rzekł z cicha:

— Już jadą, już się zbliżają.

— Kto, co, jak? odezwał się głosem surowym komendor.—

— Wielmożny panie — odpowiedział knecht— to tak: Stałem tuż przy lesie na owym wzgórku, z którego kawał dobry drogi od samej Wisły widzieć się daje. Miałem oczy wlepione jak w tęczę; myk, przesuwa mi się coś na koniu. Ja patrzę, ja słucham, aż to coś przybiera coraz widoczniejszą postać — i postrzegłem tęgo uzbrojonego kopijnika, jakich ledwie napatrzyć się można w Malborgu. Człap, człap — postępuje ku mnie — ale zwolna, ale ostrożnie. — Wtem ni z tego, ni z owego, zwróciwszy konia,

w nogi. Wyciągnąłem szyję na łokieć. — Stanąłem na strzemionach palcami, aż znowu dwóch jeźdźców spostrzegam. Jeden z nich ten sam zupełnie, którego-śmy przedwczoraj tędy bieżącego widzieli; drugi zaś na białym i zwinnym koniu, w sutym kołpaku, a tak niepoczesny i mały, że ledwie go ujrzeć zdołałem. Rozmówili się z pierwszym jeźdźcem, wysłanym pewnie na szpiegi, i razem we trzech, to jest ten zbrojny naprzód, a ci dwaj za nim prosto ku mnie posuwać się poczęli. Wtedy ja w konia i oto tu jestem.

— To oni—zawołał uradowany komendor!— dalej do dzieła! Ich trzech, a nas dziesięciu. Bracie, ja tu w odwodzie zostanę i ściągnę tego knechta, który w tyle za nami stoi na czatach. Wy z sześciu naprzód. Trzeba ich wszystkich wziąć żywcem — a szczególniej tego na białym koniu.

— Spuście się na mnie — odpowiedział rycerz i ruszył naprzód z sześciu knechtami w cichości. Trwało przez czas niejaki głuche milczenie.

Wtem okrzyki: stój! kto idzie? Zbójcy! do broni, poddaj się i tym podobne, rozlegały się po całym lesie.

— Nie ujdziesz rąk naszych — zawołał na walczącego Władysława krzyżacki rycerz — poddaj się!— krzyknął, wypadając z ubocza z dwoma knechtami komendor.

Władysław, pomimo straty kopijnika (ten bowiem w samym początku utarczki poległ), długo ścierał się z całą siłą, która go opadła znienacka, dzielnie wspierany od mężnego Zdzisława. Padło dwóch knechtów od jego broni; dwóch innych z obciętemi rękami musiało się uchylić na stronę. Lecz gdy Zdzisław został ranionym i nie mógł dłużej wspierać książęcia i gdy walka, od pół godziny trwająca, wycieńczyła mu siły, zawołał:

— Stójcie! dosyć już krwi przelewu; poddam się nareszcie, ale niech wiem, komu się poddaję.

— Jak to? nie poznajecież nas jeszcze, waleczny książę? — rzekł komendor z szyderskim uśmiechem.

— Co, Konrad de Tierberg? — zawoła zdumiony Władysław; — mniemałem, że mam do czynienia ze zbójcami.

— Skrępujcie dobrze tego zuchwałego młodzika! — krzyknie komendor na knechtów.

— Więc rycerze krzyża — odezwał się z pogardą Władysław — ci, co poświęcili się rozkrzewianiu wiary świętej i wytępieniu pogaństwa?...

— Są sprzymierzeńcami Brandeburczyków, przeciwko którym podnieśliście niesprawiedliwy oręż — rzecze z przyciskiem Konrad.

— Mów raczej, napastnikami na powszechnej drodze — odpowiedział Władysław. — Teraz, gdy jestem w waszej mocy, pomimo całej niegodziwości prawa, jakiem przytrzymany zostałem, wyznaj otwarcie, czego żądasz odemnie. Jeżeli okupu, na ten się zdobyć potrafię. Jeżeli...

— Dowiesz się o tem w lochach malborskiego zamku — odrzekł mu sucho Konrad de Tierberg.

— Jakto — zawołał skrępowany Władysław — ty śmiałbyś, zuchwalcze, więzić przeciwko prawu narodów polskiego książęcia?

— Wiem dobrze, jakie są te prawa i na co się odważyłem — rzecze znowu komendor. — Lecz dowiedzcie się oraz, że z moich postępków nikomu nie jestem obowiązany do zdawania sprawy, jedno pruskiemu mistrzowi.

— Pamiętaj, komendorze — przerwie mu Wła-

dysław — że brat mój, Leszek, jest polskim monarchą.

— i że Władysław nigdy jego następcą nie będzie—odpowiedział mu krzyżak.

— O tem niechaj sam Bóg stanowi — mówił dalej książę brzesko_i kujawski — ale to wam przysięgam, że sprawa waszego zuchwalstwa wytoczy się przed Apostolską stolicą.

— Nie radzę wam odwoływać się tak daleko— taką dał odpowiedź komendor — bliżej leży malborska twierdza, gdzie jutrzejszej nocy znajdziemy się obadwa.

— Jeżeli mam uledz niegodziwości waszej— odezwał się Władysław — wyzwólcie przynajmniej z więzów tego zacnego, a nic wam niewinnego polskiego rycerza. Jest on komornikiem krakowskiego książęcia, a rana jego wymaga może starania.

— Nie umrze on z tak lekkiego szwanku — rzekł na to krzyżak — a może z czasem posłużyć do osłodzenia samotności, jaka was czeka pomiędzy nami. Wiecie dobrze, że jesteśmy i żołnierzami i mnichami. W naszych zamkach zbywa na tych rozkoszach, którebyście snadno gdzieindziej znaleźli, jak naprzykład w zamku kaliskim. Niema tam pięknych księżniczek, ani zwyczaju odbywania świetnych turniejów. Modlitwa, skromny posiłek, cichość, czasem tylko przerywana szczękiem oręża, oto są wszystkie, jakie was czekają, rozrywki. Ale czas drogi upływa, a wam jest potrzebny spoczynek. Dalej do miasta!

Wsadzono skrępowanych, Władysława i Zdzisława, na konie, dodawszy każdemu po dwóch knech-

tów do straży. Gdy już mury Gniewa widzieć się dały, Konrad de Tierberg, wyjechawszy naprzód z krzyżackim rycerzem, który przewodniczył tej nocnej wyprawie, rozmawiał z nim długo pocichu, dając zlecenia, jak ma postąpić z więźniami. Sam zaś, osądziwszy za rzecz mniej przystojną swej godności zajmować się ich przeprowadzeniem i strażą i złożywszy całą odpowiedzialność za dostawienie ich do Malborga na zakonnego brata, spiął konia ostrogą i z jednym tylko knechtem udał się ku Wiśle. Tam, po wydaniu rozkazów do dalszej swych więźniów przeprawy, puścił się najkrótszą ku Malborgowi drogą.

Smutne było położenie Władysława, ktory tak niespodzianym trafem dostał się w moc najzawziętszych swych nieprzyjaciół, Krzyżaków. Spoglądał on zdaleka na skrępowanego Zdzisława, żałując niebaczności na jego przestrogi, ażeby się nie puszczał w drogę bez przyzwoitej z ludzi zbrojnych zasłony. W tem samem miejscu albowiem (jak nam już jest wiadomo) napotkał był podejrzanych ludzi wśród lasu. A chociaż ci nie tamowali mu drogi, źle jednak tuszył o ich zamiarach i z ostrożnością zbliżać się tam doradzał. Ale niewczesne żale na nic się przydać nie mogły. Wypadało raczej przemyślać o sposobach uwolnienia się z więzów, do czego odjazd komendora mocną mu sprawił nadzieję. Po kilka razy starał się przemawiać do wiodącego ich krzyżaka, chcąc go sobie przychylnym uczynić. Lecz kwaśny i nabechtany rozkazami Konrada niemiec albo go zbywał milczeniem, albo przez krótkie odpowiedzi przecinał wszelką sposobność zawiązania ciągłej roz-

mowy. Przybyli do Gniewa. Tam na nich czterech knechtów krzyżackich czekało. Złożono Władysława ze Zdzisławem w ciasnej i oddalonej nieco od rynku gospodzie. Dwóch knechtów pilnowało ich w izbie, dwóch zaś za domem. Rycerz krzyżacki z czterema innymi zajął się przygotowaniem do dalszej podróży. W pół godziny wrócił on do gospody i kazał zabierać się do drogi.

— Nie pojadę tak rychło — odezwał się pełen niesmaku Władysław—zanadto jestem znużony

— Miłościwy panie—odrzekł mu krzyżak—tak surowe odebrałem rozkazy, że choćbyście byli ranieni lub chorzy, nicby to wam pomódz nie mogło.

— Nie pojadę—zawołał powtórnie Władysław—a zobaczymy, czy mię żywego z tej gospody wywlec zdołacie?

— Ach, miłościwy panie—odpowie na to krzyżak—nie przymuszaj nas aż do użycia gwałtu.

— Wielu masz knechtów pod twojemi rozkazami?—zapytał go głosem nakazującym uwagę książę brzeski.

— Ośmiu—rzecze mu krzyżak—a w potrzebie i więcej się znajdzie na jedno nasze skinienie.

— To jest za mało—odezwie się znowu Władysław — bo wiedz, że ja i mój towarzysz postanowiliśmy ściśle, abyście nas gwałtem albo nieżywych z tej wyprowadzili gospody. Prócz tego cała ludność miejscowa jest za nami. Czy widzisz to zgromadzenie za domem? Wszyscy mają broń pod szatami ukrytą i radzę wam, jako nieprzyjaciel daremnego krwi rozlewu, abyście wprzódy ten lud rozpędzić kazali.

Te słowa, wymówione przypadkiem i groźnym a pełnym pewności głosem, uczyniły mocne wrażenie na umyśle krzyżaka. Rzuciwszy oko dokoła gospody, ujrzał wistocie niemało ludzi, których zgromadziła ciekawość, gdy posłyszano, że Krzyżacy jakiegoś znakomitego uprowadzają więźnia. Przerażony tem rycerz, osądził za rzecz przyzwoitą większą siłę około siebie zgromadzić, dlatego wysłał spiesznie po knechtów, którzy według rozkazów komendora mieli czekać na niego nad Wisłą. Tymczasem zwiększał się gmin przed gospodą, słysząc żwawe wewnątrz rozmowy. Ale lud słaby i nieświadomy niczego, czekał tylko ciekawie, co z tej zwady wyniknie. Wzrastała co chwila niespokojność krzyżaka, gdy nie widział nadciągających od Wisły knechtów, aż wreszcie ten, co był po nich wysłany, wrócił z pomyślną nowiną, że ujrzał zdaleka chorągiew braci od Minsterwaldu do Gniewa ciągnących i że reszta knechtów w tej chwili przybędzie.

— Dalej!—zawołał ocucony z bojaźni krzyżak—miejcie się do drogi, więźniowie.

— Nie pojadę — odpowiedział znowu stanowczym głosem leżący na posłaniu ze słomy Władysław — tu mię zabić możecie, ale ztąd nie weźmiecie żywego.

W tej chwili zgiełk za gospodą zaczął się wzmagać. Wpada jeden z knechtów do izby i głosem trwogi zawoła:

— Dalej bracia na konie, Polacy są w mieście.

— Co ty pleciesz, zdrajco? — krzyknął przerażony krzyżak.—On musi być pijany lub ślepy.

— Ale, ale, pijany lub ślepy — odrzecze tam-

ten—na te oczy moje widziałem wielkopolską chorągiew.

— To niepodobna! — zawoła znowu rycerz—to muszą być bracia.

— Tak jest, bracia—rzekł knecht—ale nie nasi, otóż już wypadają z rynku, sami ich rozpoznać możecie. Ratujmy się co żywo.

Wiadomość, tak pożądana dla skrępowanego Władysława, była prawdą niemylną. Przemysław, książę poznański, a synowiec Bolesława kaliskiego, odebrawszy stryjowskie wezwanie, ażeby z pięciu chorągwiami pod Gdańsk przyciągnął, prowadził swe hufce nadwiślańską drogą i właśnie przednia straż jego wstępowała do Gniewa, gdy się to działo cośmy opisali powyżej. Ostrzeżony przez jednego z mieszkańców o wydarzeniach w poblizkiej rynku gospodzie, świadom dobrze chytrych i przewrotnych postępków krzyżackich, dał rozkaz do oswobodzenia polskich, jak mu doniesiono, więźniów, nie wątpiąc, iż ci byli ze stryjowskiego wojska. Jakoż zaledwie nasz krzyżak wyjrzał z gospody, spostrzegł niebawem ścierających się kopijników z jego knechtami. Niedługą była ta walka. Zakłuto jednego, pochwytano i skrępowano czterech knechtów, reszta zaś wraz ze swoim dowódcą tak żwawą ratowała się ucieczką, że gdy ścigający ich Polacy dopadli do Wisły, już ich na drugim brzegu rzeki ujrzeli.

— Zgiń, przepadnij, nikczemna hołoto — zawołał dowodzący ścigającymi rotmistrz i spiąwszy konia, powrócił spiesznie do miasta.

Władysław ze Zdzisławem, uwolnieni z więzów, dziękowali Bogu za tak rychłą pomoc, jakiej nawet

spodziewać się nie mogli, a Przemysław, uwiadomiony o wszystkiem, pospieszył do gospody, w której się książę brzeski znajdował.

Pierwszy raz wtedy zeszli się z sobą ci dwaj młodzi książęta, których przeznaczała z czasem Opatrzność do podźwignięcia z poniżenia polskiego narodu i tronu, a których dzieje pełne są rozmaitych kolei i naukowych wypadków.

Przemysław był wzrostu wyniosłego, ciemnych włosów, jasno-niebieskiego oka, twarzy pociągłej i nader powabnej, lecz czoło jego rzadko wyjaśnione i jakby lekką mgłą pokryte, zdradzało tajemne a głębokie myśli, po których roztargnieniu widoczna tęskność rozlewała się na jego lica. Zaledwie miał lat dwadzieścia, a już rzadką przezornością w działaniu i następstwem rozwijających się pomysłów samych starców zdumiewał. Nie lubił on wojny, lecz się jej niekiedy całą duszą z przeznaczenia stanu swojego poświęcał. Mniej mu chodziło o odzyskanie z rąk Brandeburczyków przywłaszczonych z jego dzielnicy Santoka i Drzenia, wiecznych przedmiotów usiłowań Bolesława stryja, jak o pozyskanie sławy dzielnego męża, a ztąd ufności ludu swojego. Z żywością uczuł przykrość położenia Władysława, chytrość i podstęp Krzyżaków.

— Miło nam wielce, luby bracie — rzekł, wstępując do gospody, w której się Władysław znajdował — żeśmy zdołali przy pierwszem poznaniu wyświadczyć wam tę małą przysługę.

— Miłościwy książę—odpowiedział Władysław— dzień ten wkłada na nas obowiązek dozgonnej wdzięczności, do której się zawsze poczuwać będziemy.

— Nim nam to opowiecie szeroce — odezwał się Przemysław—co was od tych niegodziwych Krzyżaków spotkało, raczcie nam dać wiadomość, co porabia stryj nasz, Bolesław, pod Gdańskiem?

— W Gdańsku, nie pod Gdańskiem—rzecze na to Władysław — bo w dzień naszego odjazdu twierdza i miasto szturmem zdobyte zostały.

— Niech będą Bogu dzięki—odezwał się książę poznański—i wam, którzyście się zapewne niemało przyłożyli do tego szczęśliwego wypadku.

— Sprawiedliwie go szczęśliwym nazywają — prowadził dalej Władysław — gdy nasz szanowny i waleczny wódz, książę kaliski i pierwsi wojsk jego dowódcy wyszli z niego bez szwanku. Lecz poprzednie działania niemało nas kosztowały, a mężny Zaręba, wasz poddany, leży dotąd w Tczewie dla ciężkich ran, które na kilka dni wprzódy otrzymał. Lecz za to piękne Pomorze będzie z czasem świetną perłą waszej książęcej korony, albowiem Mestwin przez akt uroczysty, podpisany w obozie pod Gdańskiem, was, Przemysławie, swoim następcą mianował. Tak księztwo poznańskie z Pomorzem, a następnie z księztwem kaliskiem złączone...

— Nie będą jeszcze składały — odpowiedział Przemysław—ani połowy dawnej polskiej monarchii.

— Żaden jednakże książę z krwi Piasta — rzecze znowu Władysław — w wieku podobnym waszemu nie miał i mieć nie może w swym ręku tak znakomitej potęgi.

— Cóż ztąd? — odpowiedział ze smutkiem Przemysław—cztery już lata ubiegło od związku naszego z Ludgardą, a do tej chwili nie cieszymy się potom-

kiem. Gdybyśmy przynajmniej używali tej sławy, którą wam w równym wieku z nami dzielność oręża zjednała!...

— Stoi otworem dla każdego szlachetnego Polaka — rzecze na to Władysław — a zwłaszcza dla książąt z krwi Piastów, obszerne pole, na którem dobijać się możemy sławy wojennej. Obyśmy na niem spełnić zdołali choć cząstkę jedną tych gorących pragnień, któremi serce nasze oddycha. A wtedy możeby się ziściło to przyjęte od młodości godło: *jeden lub żaden*, bo tego wymaga stanowczo dobro ukochanej ojczyzny.

— Jeden lub żaden — odezwał się tonem rozwagi Przemysław. — Zapewne. Jedność tylko siły i woli postawić nas zdoła na szczeblu znakomitym dawnej ojców naszych potęgi. Ale poruczmy to czasowi i Temu, który losami książąt i ludów rozrządza. Zaspokójcie raczej naszą niecierpliwość w tem, co was od wyjazdu z Gdańska spotkało, a o czem radzi będziemy uwiadomić Bolesława, stryja naszego.

Krótko trwało opowiadanie przygód Władysława. Roztargniony tysiącem myśli, spiesznie pożegnał poznańskiego książęcia, a wziąwszy z sobą dla bezpieczeństwa poczet z ośmiu ludzi złożony, puścił się niebawnie najbliższą ku Kaliszowi drogą.

— To drobne ze wzrostu i posiadłości książątko — rzekł Przemysław do siebie — bujne, jak widzę, gnieździ zamysły. Jeden lub żaden... a tym jednym ma być... Nie, chyba po naszym zgonie.

Zostawmy poznańskiego książęcia nad brzegami Wisły, rozmyślającego o przyszłych losach ojczyzny, a za powziętą wiadomością o wzięciu Gdańska cze-

kającego pod Gniewem dalszych poleceń stryjowskich, przenieśmy się raczej do kaliskiego zamku, gdzie Władysław, biegnąc dniem i nocą, stanął nazajutrz, znużony niezmiernie podróżą, lecz krzepiący się nadzieją oglądania tych miejsc, na których przed niedawnemi czasy tyle doznał słodyczy.

Zaledwie trzy godziny od południa ubiegło, i Jolanta, która podczas każdej nieobecności męża swojego uczyniła ślub nie zajmować się niczem innem, jedno robotami, mającemi służyć do ozdoby kościołów, siedziała z córkami i z całą swą służbą płci żeńskiej w obszernej komnacie, mając przed sobą wielkie krosna i wyśpieszając zamierzone roboty. Tuż przy niej piękna Jadwiga haftowała pod okiem matki w pomniejszych krosienkach. Jej siostra Elżbieta zajęta była zszywaniem gotowych już haftów. Malutka Hanna zwijała na kłębki jedwabie. Ochmistrzyni księżniczek przędła na kołowrocie. Kilka panienek, schludnie, lecz skromnie ubranych, wykonywało rozkazy księżnej i haftowało w oddzielnych krosnach.

W przyległej izbie stary Sulisław, sam jeden pozostały w Kaliszu z całego dworu książęcia, chodził od okna do okna, ubolewając, że dzień nader pomyślny dla łowów, to jest pierwszy śnieg, który z lekka pobielił całą powierzchnię ziemi, bezowocnie ginął. Znagła usłyszy Jolanta jakiś głos obcy i witające a radosne Sulisława okrzyki. Mniemając, że to być może jej mąż, Bolesław, wstała od krosien i ze wzruszeniem, którego zataić nie umiała, uchyliła drzwi, prowadzące do przyległej izby.

— Tyżeś-to książę? — zawoła, spostrzegając

Władysława — co tu porabiasz i zkąd przybywasz? Jakże się powodzi małżonkowi naszemu?

— Miłościwa pani—odpowiedział Władysław — Bogu niech będą dzięki, wszystko nam poszło pomyślnie. Wasz małżonek znajduje się teraz w Gdańsku i najlepszego używa zdrowia, co wam dokładniej odemnie niniejsze pismo obwieści.

— Dzięki wam, książę — rzecze Jolanta — za tak wdzięczne dla uszu naszych poselstwo. Dzieci moje, chodźcie i podziękujcie Bogu za dobre nowiny, któreśmy o waszym ojcu otrzymali w tej chwili.

Weszły księżniczki, a gdy ich matka zajęta była czytaniem odebranego listu, z uszanowaniem i żywo malującą się radością powitał Władysław piękną Jadwigę, która z utkwionemi w ziemię oczyma, lecz nie bez wewnętrznej radości, słuchała jego uprzejmych wyrazów. Ścisnęła go czule za rękę Elżbieta, a malutka Hanna rzuciła mu się na szyję.

— Spodziewamy się — rzekła z powagą Jolanta — że książę tak rychło naszego nie opuści zamku, po trudach wojny i podróży należy nieco odetchnąć.

— Miłościwa pani — odpowie na to Władysław — przyjmuję z wdzięcznością łaskawą waszą ofiarę do jutra, bo skoro dzień zabłyśnie, muszę jak najskwapliwiej pospieszać do Krakowa, na wezwanie książęcia, brata naszego, dla nader ważnej i niecierpiącej zwłoki potrzeby.

— O, co z tego, to nic nie będzie — odezwał się stary Sulisław. — Jakto! ledwie nam przeznaczacie jeden wieczór na opisanie całej gdańskiej wypra-

wy! Nie zbędziecie nas ani skromnością, ani zwięzłością waszych obrazów. My, starzy wojacy, chcemy wiedzieć o wszystkiem, aż do najdrobniejszych szczegółów. Lecz nim to nastąpi, powiedzcie nam tymczasem, ileż głów niemieckich zleciało z karków od tej dobrze mi znajomej szabli? dzielnież się bronili? czy były jakie wycieczki walczonoż wprzódy w otwartem polu, nim twierdza opasaną została? jakżeście Gdańska dobyli: czy szturmem, czy przez poddanie? ilu naszych poległo, a ilu z ich strony? zachwyciliście co jeńców, zdobyliście jakie łupy bogate?

— Zaspokoję waszą ciekawość — przerwał mu Władysław — jak tylko miłościwa księżna wyda w tej mierze swoje rozkazy.

— Ach dobra i łaskawa pani — odezwał się do Jolanty Sulisław — raczcie dozwolić, abym na zamek naszego szanownego przywołał plebana. On z ciekawości przepada, gdy mu się zdarzy słyszeć o wojennych wyprawach, bo trzeba wiedzieć, że on kiedyś służył wojskowo i był, jak mówią, niepospolitym zuchem. Dlatego Mieczysław Stary, tak, Mieczysław, jeśli nas pamięć nie myli...

— Nie wątpimy o tem — rzekła, przerywając mu dalszą mowę Jolanta—i zgadzamy się chętnie, aby podzielił naszą ciekawość i radość.

Sprowadźcie nawet wszystkich, ktorycn to może obchodzić, co nam książę brzeski niebawem opowiedzieć raczy. Tymczasem zechce się zapewne w zamku naszym rozgościć; wieczór poświęcimy rozmowom o gdańskiej potrzebie.

Odszedł Władysław na chwilę wraz z Sulisławem do przeznaczonej dla siebie komnaty, a gdy

wrócili, nie zastali jeszcze Jolanty. Odmówiwszy ona wieczorne modlitwy z córkami i służebnemi, zajętą była wydawaniem rozkazów z powodu spodziewanego w niedługim czasie powrotu kaliskiego książęcia. Młode tylko księżniczki ze swą ochmistrzynią otaczały komin ogromny, służący nietylko do ogrzania, lecz razem do oświetlenia nieszczupłej izby. Sulisław, który, jak twierdził, pomiarkował był ramotę i który dość często o sobie powtarzał, że go w ciemię nie bito, starał się zająć swemi powieściami uwagę ochmistrzyni i młodszych księżniczek. Tymczasem Władysław znalazł sposobność mówienia z piękną i pełną skromności Jadwigą.

— Wypełniłem wiernie wzięte od was rozkazy—tak się do niej odezwał—w pochodach i bitwach, w wojennej wrzawie i wśród niebezpieczeństw widocznych, nie odstąpiłem ani na krok dobrego ojca waszego.

— Dzięki warn za tę troskliwość — odpowie Jadwiga — myśmy się też codziennie za was do Boga modliły.

— Bóg wysłuchuje aniołów — rzecze Władysław — ale też i wasz ojciec, piękna Jadwigo, godzien jest tej miłości i poszanowania, jakiej zewsząd nieobojętne odbiera dowody. Jaka dobroć i umiarkowanie, jaka jednostajność umysłu i stałość w przedsięwzięciach, jaka przytomność i roztropność wśród najgłówniejszych niebezpieczeństw i ciosów! Przez cały przeciąg niedługiej, ale nader ważnej wyprawy był on ciągle dla mnie wzorem, nauczycielem i ojcem. Obym mógł na resztę dni życia mojego zasłużyć od niego na zaszczytne syna nazwisko!

— Czemuż nie? — odpowiedziała w niewinności serca Jadwiga — ja myślę, że nasz ojciec chętnie na to zezwoli.

— A wy, piękna księżniczko? — zapytał Władysław.

— Ja? — odrzekła nieco zmieszana — cóż to mnie może dotykać?

— Czas jest pomówić otwarcie — odezwał się z żywością Władysław — a ten czas może jest nawet za krótki. Od chwili, gdym pierwszy raz ujrzał wasze oblicze, Jadwigo, poczułem natychmiast, że losy życia mojego w wasze ręce złożyła Opatrzność. Odtąd ku wam wszystkie myśli i uczucia moje zmierzały, odtąd oczy moje zwracają się ciągle w te miejsca, w których przebywa piękna Jadwiga

Pierwszy raz w życiu córka Bolesława podobne słyszała wyrazy. Jakkolwiek te były dosyć miłemi dla jej ucha, nie mogła przecież swego pomięszania zataić.

— Ach książę — rzekła zcicha do Władysława — mówiliżeście o tem z mym ojcem?

— Wszystkie tajemnice serca mojego — odpowiedział Władysław — wylałem na jego łono; wszystkie moje teraźniejsze i przyszłe odkryłem zamiary; w tym jednym zbyło mi na potrzebnej odwadze

— Tem gorzej — zawołała z niewinną otwartością Jadwiga — więc i ja was słuchać wcale nie mogę.

— Widziałem i poznałem — mówił dalej Władysław — całą otwartość szlachetnej ojca waszego duszy; znam nawet, ilem przychylności w sercu jego pozyskał. Lecz znalazłszy go wielce przywiązanego

do tej świadomej powszechnie przepowiedni, że rękę waszą przeznacza Opatrzność dla króla, jakże ja, książę szczuplej Kujaw dzielnicy; ja, młodzieniec, żadnym dotąd niewsławiony znakomitym czynem, mógłbym się odważyć na krok tak stanowczy w mem życiu? Wiele razy mniemałem, że pokonam dręczącą serce moje obawę! Lecz gdym mówić poczynał, wszystkie słowa w uściech moich konały. Kto wie, czyli powierzenie się szanownej i czci godnej matce waszej...

— Niech Pan Bóg broni! — przerwie mu z żywością Jadwiga.—Matka nasza nawykła najmniejsze nawet sprawy do woli ojca odnosić. Podobne zwierzenie się obraziłoby ją niezmiernie, zwłaszcza z waszej strony, którzyście tyle czasu razem z ojcem naszym spędzili.

— Cóż więc nam przedsięwziąć wypada? — zawołał z głębokim smutkiem Władysław.

— Ach, książę — odpowie mu na to — możecież się o to pytać młodej i niedoświadczonej Jadwigi.

— Więc mi nic nie pozostaje — rzecze znów Władysław — jak przysiągłszy wam, piękna Jadwigo, wieczne poświęcenie się i miłość, wszelkie usiłowania obrócić ku temu, ażebym mógł z czasem podług mniemania ojca waszego, tego dostąpić zaszczytu, któryby mię w oczach jego godnym waszej ręki uczynił. A wtenczas to piękne i szlachetne serce, te słodkie i anielskie wdzięki...

— Zwolna, zwolna—przerwie mu mowę Jadwiga. — Unosicie się zanadto, tak, że wszyscy obecni na was oczy zwracają.

— Przyrzekasz-że mi, piękna i nieoceniona Ja-

dwigo — rzecze głosem przytłumionym Władysław — aż do tych szczęśliwszych dla mnie czasów twoją przychylność i miłość zachować.

— Przychylność — odpowie — wy ją już posiadacie oddawna. Ale o miłości tego powiedzieć nie zdołam, bo przyznam się szczerze, iż wyraz ten zupełnie jest niezrozumiałym dla Jadwigi. Posłuchajcie mię cierpliwie. Gdy was ujrzę, bardzo mi to jest miło. Gdy chwalących was słyszę, uważam pilnie i ta rozmowa najprzyjemniejszą jest dla serca mojego. Gdy przemawiacie do mnie, sama nie wiem dlaczego, rumienić się muszę; lecz taki kłopot nie sprawia mi żadnej przykrości. Gdy was nie widzę, bardzo mi jest tęskno. Taką przychylność przyrzekam wam do zgonu. Ale miłości, której żądacie odemnie, tej ja wam przyrzec nie mogę.

— O czysta, niewinna i anielska duszo! — zawołał z uniesieniem Władysław — w niej, jak w jasnym zdroju, odbija się cała potęga szczęścia tego, który ją kiedyś posiędzie.

Przybycie kanclerskiego plebana i kilku szanownych starców z poblizkiej Kaliszowi szlachty, których ściągnęła nadzieja słyszenia opisu gdańskiej wyprawy, a bardziej wezwanie Sulisława do zamku, przerwało dalszą Władysława rozmowę. Nadeszła niebawem z wypogodzoną i poważną twarzą Jolanta. Stary Sulisław dotąd nie spoczął, aż póki Władysław nie zabrał się do spełnienia swych przyrzeczeń w określeniu ze wszelkiemi szczegółami zdobycia Gdańska, co gdy już jest naszym czytelnikom wiadome, przejdziemy raczej do dalszych przygód, które Władysława spotkały.

ROZDZIAŁ VIII.

Władysław w Krakowie.

Kraków, dokąd dążył spiesznie Władysław, od czasów Bolesława Chrobrego był królów i książąt polskich stolicą. Pierwiastki jego tak starożytne jak naród, tak jak i on, zrazu były szczupłe i drobne. Z czasem podniesiony do znakomitej potęgi hojnością królów, już na początku trzynastego wieku zadziwia przychodnia okazałością gmachów, równie jak i bogactwem mieszkańców. Prócz królewskiego zamku, którego wspaniała posada uderzała z daleka, wzniesiona tuż przy nim przez Władysława Hermana katedralna świątynia, zawierała w swych murach najznakomitsze pobożności monarchów i sławy narodowej pomniki.

Z poszanowaniem oglądano wowczas stojące i wznoszące się kościoły: Świętego Jędrzeja, który leżał za miastem; Świętej Trójcy, którego początki do najodleglejszych czasów chrześciaństwa w Polsce należą, i Świętego Franciszka, który to kościół, niedawno zbudowany przez Bolesława Wstydliwego, posiadał rzadkiej piękności rzeźby z drzewa w ołtarzach i ławicach. Wszakże nad wszystkie inne gmachy, prosta, śmiałego pomysłu i wykonania, a wspaniała i obszerna świątynia Maryi Panny, wszystkich oczy i podziwienie ściągała. Jej założyciel, Iwo z Końskich Odrowąż, bogobojny i czynny biskup krakowski, poświęciwszy znaczną część swoich dochodów na tę budowę, do dziś dnia cześć należną sobie odbiera za wzniesienie najznakomitszej tego starożytnego miasta

ozdoby, równie jak za obmyślenie pierwszego dla cierpiącej ludzkości przytułku, w szpitalu od Świętego Ducha nazwanym.

Lecz gdy w 1240 roku horda azyatyckiej Tatarów dziczy, pod wodzą okrutnego Batego, całą Polskę zalała; gdy ani męztwo Włodzimierza, krakowskiego wojewody, i korzyści otrzymane pod Turkiem, ani zbyt szczupła w miarę napastników krakowskiego i sandomierskiego rycerstwa siła, nie zdołała ich wstrzymać w stanowczej a nieszczęśliwej pod Chmielnikiem rozprawie; gdy znakomici rodem i walecznością Polacy położyli w tej krwawej bitwie szlachetne swe głowy, a Bolesław Wstydliwy, bądź z przyrodzonej gnuśności, bądź dla niepodobieństwa obrony państwa i stolicy z Polski do Węgier ustąpił, okropna chmara wyuzdanego na wszelkie bezprawia pogaństwa, nie znajdując już żadnej zapory, rozpostarła wszystkie klęski wojenne nad nieszczęśliwym Krakowem. Spłonęło całe miasto, a z niem i świątynia Maryi Panny. Jeden tylko kościół Świętego Jędrzeja ocalał. Bronił się w nim lud nędzny z męztwem, które rozpacz podnieca, aż zmordowana łupieżą i rozbojami horda, straciwszy w bezskutecznych szturmach wiele ludu, wolała raczej rozlać się na ludne i bogate szląskie kraje.

Po ustąpieniu Tatarów wrócił z Węgier Bolesław, wrócili rozproszeni na różne strony krakowscy mieszkańcy; lecz z chędogich domów i siedlisk, dostatkami kwitnących, z okazałych gmachów i świątyń, ledwie kamień na kamieniu znaleźli. Zaczęto się krzątać starannie około zatarcia okropnych śladów zniszczenia, a wczesna i trafna porada nadania nowego

lokacyjnego przywileju dla miasta i obdarzenia go prawem i porządkiem niemieckim (co istotnie nastąpiło w roku 1257) jak najszczęśliwsze pociągnęła za sobą skutki. Przybywali tłumami cudzoziemcy do obdarzonego w znakomite swobody Krakowa, przynosząc z sobą pracowitość, przemysł i dostatki: ustanowiony wójt miejski z radą przestrzegał powszechnego bezpieczeństwa i porządku. Zakładano domy i gmachy podług prawideł, wróżących trwalsze i ozdobniejsze budowy; prostowano ulice, kopano studnie, dla opatrzenia miasta w wodę ciągnięto podziemne kanały, końcem utrzymania czystości i zdrowego powietrza. Wtedy to rozprzestrzenił się rynek Krakowa i przybrał kształt do dziś dnia trwający. Wtedy wzniesiono starożytną Sukiennic budowę, przeznaczoną na skład sukien i innych służących do odzienia i utrzymania życia towarów, którą w kilkadziesiąt lat później Kazimierz Wielki, syn Władysława, rozprzestrzenił i ozdobniejszą uczynił. Wtedy otoczono miasto murami i fosą, do której woda, sprowadzona z rzeki Rudawy, naokoło oblewać je mogła. Te mury, umocnione w pewnych odległościach wieżami, tak dalece wystarczały potrzebie czasu, że nowy napad tatarski za panowania Leszka Czarnego, w 1287 roku, rozbił się o ich warownię.

Dzień był nader łagodny i ciepły, jakie pod naszem niebem częściej wśród listopada niźli na wiosnę zdarzać się zwykły. Władysław, zbliżywszy się ku murom Krakowa, za radą bieglejszego w miejscowych wiadomościach Zdzisława, postanowił nową bramą wjechać do miasta. Spostrzegłszy na prawo tej bramy budowę znakomitego gmachu, który później

grodkiem, to jest małym zamkiem nazwany został, zbliżył się ku licznie zgromadzonym i jeszcze w tę porę rozmaitą pracą zajętym rzemieślnikom.

— Komuż to tak okazałą wznoszą budowę? — zapytał się, zsiadając z konia.

— Na mnie — odpowiedział mu cudzoziemska średniego wieku i wzrostu, a w kusą katanę i mały kapelusik przybrany człowiek — *Denn Sie sollen wissen, dass ich bin Advocatus urbis, oder polnisch:* Wójt.

— A wasze nazwisko? — zapytał go z powagą Władysław.

— Johan Gottlieb Betmann. A wasze? — zapytał go nawzajem, skrzywiwszy nieco nosa wójt, jak gdyby urażony nakazującym uszanowanie głosem.

— Władysław syn Kazimierza — odebrał na to odpowiedź.

— Jesus und Maria! — zawołał pomieszany Advocatus urbis. — Jakto! naszego monarchą i książęcia Bruder?

— Mniejsza o to — rzecze znowu Władysław.

— Ach, miłościwego książęcia i pana — mówił dalej Betmann — przebaczcie, darujcie, nie miejcie żalu, a ja niemądra, żem tego z waszego nie wyczytał oka.

— Dajmy temu pokój — przerwie mu Władysław — a raczej powiedźcie nam, jak dawno poczęliście tak znaczną i okazałą budowę?

— Drugie to lato, miłościwy książe — odpowiedział Betmann — jak się bidziemy nad tym trochę obszerniejszym domkiem; bo nasz książę i pan postanowił, aby wójt krakowski nie mieszkał tak jak *ein gemeiner Bürger*, to jest jak prosty mieszczanin. Mó-

wi on codzień, że kto tak wysoki urząd piastuje, ten powinien i w mieszkaniu i w ubraniu pewną obwarować się powagą, ażeby go zdaleka nawet szanowali — tak jak to mówią między nami — trochę głupsi od niego. To jest wielka polityczna prawda, której się od nas Niemców powinni nauczyć panowie Polacy.

— Dobrze mówicie — rzecze na to z uśmiechem Władysław. — Mocne uczucie tej prawdy może z czasem i naszych ziomków obdarzy potrzebnym do piastowania urzędów rozumem.

— Urząd — mówił dalej Betmann — jest co innego, a co innego rozum. Ostatni jest bardzo potrzebny dla pospolitych i prywatnych ludzi, bo jakżeby żyli, nie mając rozumu? Lecz kto ma urząd, temu już go nie potrzeba bynajmniej, a raczej temu sam rozum nie wiedzieć zkąd spadnie, jakby z obłoków. Bo nie napróżno powiedzieli nasi: *Komt Amt, komt Verstand.* Czy rozumie to dobrze wasza książęca miłość?

— Rozumiem — odrzekł Władysław, a uczyniwszy jeszcze kilka zapytań rozmównemu wójtowi, udał się ku świątyni Maryi Panny, którą właśnie po zniszczeniu tatarskiem kończono naprawiać. Zatrzymawszy się nieco dla przypatrzenia się dobrze zewnętrznej postawie okazalego i cześć wrażającego gmachu, udał się przed główny oltarz, a w krótkiej i żarliwej modlitwie złożył z serca pochodzące dzięki temu Panu, którego wszechmocna ręka z tylu przygód i niebezpieczeństw wyprowadziła go w całości.

Gdy wyszedł na rynek, zadziwiał go niemalo trwający ruch całej ludności, zajętej budowlą, mimo tak późnej jesieni. Jedni zwozili ogromne tramy na mocnych i nielatwo podległych zepsuciu karach; dr -

dzy oprawiali niezmierne głazy, na których wielkie gmachy miały spoczywać. Zawieszeni na siedzeniach ze sznurów murarze wołali rozmaitemi języki o kamienie albo o dachówki. Pracowici cieśle obrabiali szerokiemi topory ogromne sosny i wyniosłe modrzewie. Otwarte Sukiennice przedstawiały widok małego miasta. Znakomita ilość potrzebnych do życia i użycia towarów spoczywała w długich kurytarzach tego gmachu. Kosztowniejsze przedmioty znoszono pod sklepienia izb przyległych, inne spuszczano po łańcuchach i sznurach do lochów w głębi ziemi wykutych.

— Jak się nazywa ten letni cieśla, który w białym sukiennym żupanie i z chustką szkarłatną na szyi tak żwawo i krzepko pracuje około tej powstającej budowli? — zapytał Władysław, wyszedłszy z Sukiennic na rynek.

— Cieśla — rzekł na to jeden z ludu. — Oj i wybyście może takim cieślą być chcieli. Jest to Bronisław Wierzynek, rajca krakowski, najbogatszy i najczynniejszy z mieszczan rodu polskiego. On sam zna się na ciesielce i na murarce, on sam kieruje budową tego tam domu, który wznosi dla siebie, i sam koło tego pracując, zachęca rzemieślników i czeladź do śpieszniejszej roboty. Bo też to jest i pracowity i zacny staruszek. On żadnemu z tych niemieckich przychodniów, których się tu tylu zleciało, ile jaskółek na wiosnę, od nadania magdeburskiego prawa, w niczem nie da sobie wziąć przodka. Oj! żebyście wy wiedzieli, jakiego on ma łepskiego i uczonego chłopaka! Po łacinie, gdyby ksiądz proboszcz, a po niemiecku, gdyby pisarz pana wójta Betmanna! jeśli Bóg im życia pozwoli, wyjdą oni kiedyś na ludzi.

— Pomagaj Boże! — rzecze Władysław, zbliżywszy się do starego Wierzynka.

— Bóg zapłać za poczciwe słowo — odpowiedział, nie przestając pracować.

— Czemuż to — zapyta go Władysław — sami się trudzicie, staruszku, mając, jak powiadają, zadość i sług i czeladzi?

— Alboż to można spuścić się na nich? — odrzeknie Wierzynek. — Jak jeno nam gdzieindziej uchylić się przydarzy, zaraz wszystko idzie bez ładu i składu. Nakoniec z pracy się powstało i wzrosło, trzeba więc pracować póki tylko Pan Bóg dozwoli. Pomagaliśmy dźwigać głazy, gdy się ten domek zakładał, musimy więc pomódz cieślom do dachu.

— Dom wasz — odezwał się znowu Władysław — będzie z czasem całego miasta ozdobą i niemało musi w sobie izb zamykać.

— Gdybyście mieli czas i dobrą wolę — rzecze Wierzynek, składając topór na trawie — moglibyśmy was obwieść po całej budowie.

— Z ochotą — odrzekł na to Władysław.

— Patrzcie jeno — mówił dalej Wierzynek — od tej tam ulicy Stolarskiej, która około Świętej Trójcy przechodzi, aż tu do rynku, wszystko z łaski Bożej jest nasze. Tu sklepy, tam izby kuchenne i czeladne; dalej na górze sypialnia, dalej gościnna. Dla nas starych dośćby było na jednej uczciwej a chędogiej komnacie; ale gdy nam Bóg dał nielada nadziei chłopaka, trzeba coś i dla niego uczynić. Oto jest [illegible] jadalna; w niej będzie mógł z czasem niemało przyjaciół uraczyć — a gdy ją do krzty wyporządzimy, stanie się może godną do przyjęcia choćby też ksią-

żąt i królów. Niech mu Bóg dopomoże. Nareszcie, alboż to my, starzy mieszczanie krakowscy, dozwolimy wziąć sobie przodek czy Morsztynom, którzy tam oto na rogu budują, czy Tugierom, co się owdzie od południa usadowili, czyli też Bonarom, którzy swym gmachem chcą zaćmić, Panie odpuść, kościół Świętego Franciszka? Wszakci my jesteśmy na śmieciach naszych, i dawniejsi podobno od tych tam, Bóg wie zkąd, przychodniów — chociaż prawda przyznać nam każe, że i oni wszystko ludzie uczciwi.

— Niech wam Bóg błogosławi, zacny staruszku i w domu i za domem — rzecze, ściskając pracowitą rękę starego Wierzynka Władysław — raczcie nam teraz najkrótszą ku zamkowi wskazać drogę, gdyż tam spieszyć musimy.

— Ta oto, na której jesteście, ulica, od grodu, czyli zamku, Grodzką nazwana — odpowie na to Wierzynek — doprowadzi was do książąt naszych mieszkania. Nie tak ona wyglądała przed tatarskim napadem, teraz prosta, jak strzelił — lecz jeszcze trochę pusta. Za kilka lat może, da Pan Bóg, że ją zabudowaną ujrzymy. Nie wstrzymujemy was dłużej, miłościwi panowie, i nam też do pracy wrócić wypada.

Przebywając Władysław Grodzką ulicę, zwrócił uwagę na kościół Świętego Jędrzeja i przywiódł na pamięć sławną murów tej świątyni przeciw Tatarom obronę. Oddał cześć szczupłemu kościołowi Świętego Idziego, po którego wzniesieniu Władysław Herman król Polski, z miłą dla serca swego pociechą, doczekał się długo wyglądanego potomka. Przeprawiwszy się nareszcie przez most na Rudawie, która podówczas zamek oddzielała od miasta, wjechał na Wawel i zna-

lazł się wśród murów starożytnego a niedawno z gruzów podźwigniętego królów i książąt polskich siedliska.

Za odebraniem wiadomości o przybyciu brata, wybiegł przeciw niemu z sercem otwartem i z widocznem rozczuleniem Leszek, Czarnym nazwany, z dziedzictwa po ojcu sieradzki, a z przeznaczenia Bolesława Pudyka, książę krakowski, sandomierski i lubelski, i polski monarcha.

— Długośmy oczekiwali na was, miły bracie, i długośmy odwlekali dla spodziewanego waszego przybycia, pogrzeb ostatniego naszego monarchy, Bolesława— rzekł Leszek. — Lecz gdyśmy w tej mierze żadnej powziąć nie mogli pewności, dopełniliśmy nakoniec przed trzema dniami tego pobożnego obrzędu i już zwłoki jego śmiertelne złożone zostały pod sklepieniami murów kościoła Świętego Franciszka. Dzięki Najwyższemu, że was zdrowo i w całości do tej przywiódł stolicy. Ważne sprawy państwa naszego wymagają wspólnej narady, a sroga wojna, którą Litwa, Ruś i Tatarzy wspólnej zagrozili ojczyźnie, wzywają nas wszystkich do dzielnej obrony.

— Miłościwy panie — odpowiedział Władysław— wiadomo wam zapewne, żeśmy byli wraz z Bolesławem kaliskim wojną przeciw Brandeburczykom zabawni. Na kilka godzin przed szturmem do Gdańska doszło nas wasze wezwanie. Zaraz po zdobyciu tej twierdzy pospieszyliśmy w drogę. Dziś jesteśmy na wszystko gotowi, czego tylko wasze i wspólnej ojczyzny dobro będzie po nas wymagać.

— Bolejemy mocno — dodał Leszek — że nie możemy was przyjąć z całą okazałością, na jakąbyśmy w .....ym czasie zdobyć sie zdołali. Cały nasz dwór

z przybocznem rycerstwem wyciągnął na wojnę dla obrony zagrożonego od nieprzyjaciół Sandomierskiego księztwa, pod wodzą Warsza kasztelana i Piotra wojewody krakowskiego, dokąd my sami niebawem udać się pragniemy. Lecz uprzejmość braterska może okazałość zastąpić. Wnidźcie przeto do naszej komnaty, gdzie na was Gryfina, droga nasza małżonka, z otwartemi oczekuje rękoma.

Znaną już była dawniej Władysławowi Gryfina. Ta córka Rościsława kijowskiego książęcia była niespokojnego i wyniosłego umysłu i niełatwo nawyknąć mogła do obyczajów polskiego narodu. Nienawidzili jej sieradzanie dla dumy rodowitej, którą w każdem okazywała zdarzeniu. Trapiły ją mocno nieszczęścia ojca, który, zrzucony z księztwa Kijowskiego przez Daniela Romanowicza halickiego i włodzimierskiego książęcia, szukać musiał w Węgrzech przytułku, gdzie mu teść jego, Bela IV król węgierski, politowaniem i wspaniałością zdjęty, księztwo Bośnii w dożywotnią puścił dzierżawę. Lecz gdy Leszek Czarny, jej małżonek, został następcą Krakowskiego księztwa i polskiej monarchii, odżyła w jej sercu dawna duma, a wzmogły się domowe niesnaski z powodu omylonej nadziei doczekania się żywo pożądanego potomstwa, które zaledwie smutnym nie skończyły się rozwodem. Nie umiała Gryfina pozyskać przychylności krakowian, wyjąwszy kilku wichrzycieli, o których później nadmienić nam przyjdzie. Przeciwnie, Leszek był łagodnego i dobrowolnego umysłu. Z poddaniem się woli Najwyższego znosił on i nieprzyjemności domowe i bezowocne z Gryfiną małżeństwo, uważając trzech swoich młodszych bra-

ci za synów i przyszłych następców, gdy brat jego najstarszy Ziemomysł (któregośmy na zamku kaliskim poznali) z jednej z nim zrodzony matki, to jest z Konstancyi córki Henryka Wtorego, wrocławskiego książęcia, będąc słabego zdrowia, długiego życia nie wróżył. Wszakże z pomiędzy całego rodzeństwa najbliższym serca Leszka był Władysław; wszyscy go przeto uważali za domniemanego następcę monarchii. Ta jedna okoliczność podała go w nienawiść Gryfiny. Dowiedziawszy się ona, że książę, jej małżonek, lubego mu brata do Krakowa powołał, w obawie, ażeby mu, przykładem Bolesława, za życia swego nie przekazał następstwa, wyprawiła tajemnie gońca do Pragi dla porozumienia się w tej mierze z Czechami, z którymi ją związki pokrewieństwa łączyły. Przemysław albowiem Ottokar król czeski, który niedawno poległ w nieszczęśliwej bitwie z Rudolfem Habsburgiem cesarzem stoczonej, był szwagrem Gryfiny i zostawił z jej siostry Kunegundy syna Wacława, który wówczas dla małoletności zostawał w opiece Ottona Długiego, brandeburskiego margrabi. Wyprawili niezwłocznie Czechowie do Krakowa Zawiszę, pana na Rozembergu, pod pozorem uczczenia tem poselstwem pogrzebu Bolesława Pudyka, a wistocie dla skojarzenia ściślejszych związków z Gryfiną. Przyrzekała ona wymódz na pełnym uległości jej woli małżonku mianowanie następcą polskiej monarchii jej siostrzana, Wacława. Jakkolwiek te układy skutku pożądanego nie wzięły, wszelako otworzyły drogę do rozerwania umysłów po zgonie Leszka, a następnie do wojny Polaków z Czechami i do chwilowego panowania Wacława.

Gdy Władysław stanął w Krakowie, znajdował się jeszcze w tej stolicy Zawisza. Jego częste narady z Gryfiną i z nieprzychylnym Leszkowi Pawłem, biskupem krakowskim, obudziły rozmaite podejrzenia w umyśle panującego książęcia. Ale Zawisza tak był udatnym i zręcznym, tyle przyjemności i dworskości posiadał, że przez cały czas pobytu swego w Krakowie, służąc wiernie zamiarom Gryfiny i sprawie czeskiej, umiał razem pozyskać względy Leszka, a nawet Władysława przychylność. Ta giętkość umysłu, ta rzadka umiejętność kierowania przezornie wszystkiemi krokami, bez obrażania ścierających się z sobą stronnictw, niemało się przyłożyła do stosunków Polski z Czechami i do pozyskania serc wielu dla strony Wacława; a Kunegunda, owdowiała królowa czeska, ujęta przymiotami Zawiszy, w kilka lat po zgonie męża rękę mu swoją oddała. Znane są następne nieszczęścia Zawiszy. Pozostałe po nim pieśni czeskie, któremi słodził okropność więzienia przed zgonem, mieszczą go w rzędzie niepoślednich poetów.

Gdy dwaj bracia, Leszek z Władysławem, znaleźli porę pomówienia z sobą szczerze i na osobności, pierwszy Leszek otworzył swe myśli i serce. Pragnął on jak najusilniej, zwoławszy radę z panów poskich, jacy się mogli w stolicy i w blizkości znajdować, przeznaczyć lubemu sobie bratu następstwo polskiej monarchii. Władysław żądał krótkiej ku temu odwłoki, a rozmówiwszy się z Gryfiną i wybadawszy tyle ile mógł Zawiszę, nie przepomniał odwiedzić Pawła biskupa, który dla wielkiej liczby stronników i podufałych przyjaciół, najwięcej zdawał się wpływać na znakomite zmiany i interesa krajowe.

Paweł z Przemankowa, następca na biskupstwo krakowskie cnotliwego, pobożnego i uczonego Prandoty, był wzrostu wysokiego, twarzy pięknej i ściągłej, oczu i włosów czarnych — słowem, powabnej i okazałej postaci. Rzadko bardzo widywano go w stroju biskupim. Ćwiczony od młodości do zabaw rycerskich, zostawszy duchownym, cały się poświęcił myśliwstwu, które z namiętnością polubił. Ztąd gorszące częstokroć objawiały się skutki. Świadczą dzieje, że gdy jeden z jego łowców uwikłanego w sieci jelenia przez nieostrożność wypuścił, takim gniewem uniósł się Paweł, iż nieszczęśliwego myśliwca zabił na miejscu oszczepem. Gdy z kołczanem i łukiem występował na łowy; gdy odział swe barki wyniosłe skórą lamparta, a nóż myśliwski do boku przypasał; gdy włożył na głowę kołpak zielony, który bogate ozdabiało futro, twarz jego rycerska i pełna wyrazu męztwa, wąs czarny, krótko przystrzyżona broda i cała postawa kazały go raczej uważać za świeckiego, aniżeli za kościelnego książęcia. Mało się trudnił sprawami stanu swojego. Dom jego i stół otwarty, gdzie wszystkie sprawy państwa roztrząsano bez względu, a najczęściej ganiono, usłał mu drogę do niebezpiecznej między szlachtą przewagi, a z czasem do zuchwałego panującym oporu. Doznał tego Bolesław Wstydliwy nietylko w radzie, gdzie mu Paweł zawsze się okazywał przeciwnym, lecz nawet w nieprzyjaźniach sąsiedzkich, które mściwym umysłem poduszczał. Uwięziony na rozkaz Bolesława i osadzony w zamku sieradzkim, lubo doświadczył jak najłagodniejszego obejścia się z sobą Leszka, wówczas sieradzkiego książęcia, przecież mu wieczną za-

przysiągł nienawiść i tej przysięgi wiernie dochował. Odzyskawszy wolność za przyczyną Janusza, arcybiskupa gnieźnieńskiego, dotąd nie spoczął, póki nie poburzył na Bolesława Litwy, Prusaków, Żmudzinów i własnych jego poddanych. Dopełniła się jego zemsta klęskami pogańskiej dziczy i zniszczeniem nieszczęśliwego kraju, równie jak bogucińską bitwą, w której Bolesław pokonał zbuntowanych Polaków. Przecież nie miał on tyle powagi i siły, ażeby Pawła poskromił. Zostawione to było wyższej potędze, bo gdy wkrótce potem udał się z obowiązków stanu swojego do klasztoru Dominikanów na kilkodniową modlitwę i rozpamiętywanie postępków życia swojego i gdy sam znajdował się w celi, około północnej godziny huk podobny do gromu przerwał jego spoczynek, a następnie w głos się wyraźny zamienił:

— Co tu czynisz, nieszczęsny, w miejscach poświęconych pobożności i cichości zakonnej? Ustąp natychmiast lub wejrzyj w głąb serca swojego i póki jeszcze pora, żałuj ciężkich twych grzechów.

Osłupiał zrazu Paweł. Przyszedłszy potem do zmysłów i oglądając się wkoło za pomocą lampy:

— To urojenie, pochodzące ze snu — rzekł do siebie—nie masz tu widzę nikogo.

— Nie masz nikogo — odezwał się powtórnie głos straszliwy — ale jest Ten, co wszystko widzi i wszystko przenika. Miałeś Go przy sobie, gdyś własnych poddanych na swego pana poburzał; miałeś, gdyś związki z dzikiem pogaństwem przeniósł nad dobro własnej ojczyzny i poruczonych twemu staraniu owieczek; miałeś i wtedy, gdy, zaniedbując powinności pasterskiego twego urzędu, całyś się od-

dał zbytkom, biesiadom i łowom. Wzgardziłeś Nim w twem sercu i zatwardziłeś je na litość, powinność i cnotę. Słyszysz i teraz głos ten potężny; ale on niezadługo zamilknie, a wtedy biada tobie, biada!

— Kto jesteś? — zawoła przerażony Paweł — kto jesteś, pytam się raz jeszcze, krzywej wróżby tłomaczu? Jeśli głos twój z ust ludzkich pochodzi, lękaj się!...

Tu mu słowa w piersiach zastrzękły.

— Ja jestem ten, który jestem i który już raz ostatni wołam na ciebie. Zwróć się na drogę powinności i cnoty, albo zginiesz, a zginiesz na wieki!

Huk, podobny do łomów trzaskającego sklepienia ogromnego gmachu, towarzyszył tym słowom. Potem głuche i grobowe nastąpiło milczenie. Zimny pot oblał członki struchlałego Pawła. Był-li to głos nadprzyrodzony lub głos obudzonego sumienia; przecież od tej chwili spostrzeżono znaczną w obyczajach i życiu Pawła, aczkolwiek niedługo trwającą, odmianę.

Nie miał żadnej do Władysława niechęci biskup. Ale tak się już porozumiał z Zawiszą, w tak mocne zaszedł z nim i Gryfiną stosunki, że wymiarkowawszy jego umysł i skłonności, sam Władysław doradzał Leszkowi, ażeby niebezpieczny zamiar mianowania następcy na polską monarchię do dalszego i sposobniejszego odłożył czasu. Walczyła za jego zdaniem i ta uwaga, że podówczać nikt z senatorów, oprócz niechętnego książęciu Pawła biskupa, nie znajdował się w Krakowie, a mogący być przywołanymi do rady ziemscy i nadworni urzędnicy po większej części byli ślepo uległymi Pawłowi. Nie dał się atoli

skłonić do tego kroku roztropności Leszek. Wybierając się na wojnę przeciw Litwie, Rusinom i Tatarom, osądził on, iż dla przyszłej spokojności państwa i zasłonienia Polski od wyniknąć mogących rozruchów, mianowanie następcy jest nieodzownym warunkiem. Zwołaną została rada, a przedmiot jej nie był tajnym nikomu. Na tę wiadomość Zawisza i Paweł porozumieli się z Gryfiną. Z ich narady wynikło, ażeby księżna ogłosiła publicznie swoją brzemienność, co nastąpiło natychmiast. To oświadczenie mało wiary znalazło. Wszelako Leszek zniewolonym został do zaniechania przedsięwzięcia swojego i przestał myśleć o tem, co dotąd było całej jego troskliwości przedmiotem.

Zbliżył się dzień naznaczony do wyjazdu Leszka z Krakowa. Władysław ze swej strony udać się miał do Brześcia dla ściągnienia szlachty kujawskiej na wojnę z Litwinami i Rusią. Z braterską czułością pożegnali się z sobą książęta.

Gryfina, zniweczywszy jednem swem słowem wszystkie Leszka zamiary, lepszem okiem na Władysława patrzeć poczęła, tembardziej, gdy się widocznie do odjazdu z Krakowa zabierał; z przykrością albowiem poznała, że wzrok przenikliwy brzeskiego książęcia umiał odkryć wszystkie jej zabiegi. Wtem nadbiegł goniec od wojska. Warsz, kasztelan krakowski a namiestnik książęcy przy wojsku, donosił, że, złączywszy się z sandomierską szlachtą, pod wodzą Janusza wojewody zostającą, i nie mogąc znieść dłużej klęsk i zniszczeń, które nad bezbronnym krajem rozpościerali barbarzyńcy, z Rusinów, Litwy i Tatarów w jedną niesforną, a chciwą krwi chrześcian-

skiej hordę złożeni, postanowił nakoniec, poleciwszy się Bogu, chociaż z małą garstką Polakow zabiedz drogę łupiezcom u Goślic, wsi o dwie mile od Sandomierza leżącej.

Poblogosławił Pan Bóg (słowa są Warsza) odwadze naszej a rozpaczy. Równo ze świtem rozpoczęła się potrzeba. Widząc rozwijające się dzikich nieprzyjaciół tłumy, inniby może zadrżeli. My podnieśliśmy ducha do Tego, który równie zwycięztwy, jak i klęskami szafuje, i w Imię Jego Najświętsze uderzyliśmy na pięćkroć od nas liczniejsze pogaństwo. Ledwieśmy poczęli ścierać się z Rusinami, ledwieśmy na nich z kordem w ręku natarli, pierzchli sromotnie, a w ucieczce co przedniejsze postradali głowy. Ta pomyślność orzeźwiła nam serca. Lecz gdy przyszło do walki z Tatary, mało nas Pan Bóg za zuchwałość nie skarał. Trudna była sprawa z temi poganv. Jużeśmy mniemać poczęli, że nas Rusini fortelem zażyli, naprowadzając na zasadzki w ucieczce. Gdy atoli lewy ich bok, dotąd mniej narażony na ciosy, a coraz silniej party, bity i sieczony przez Sandomierzanów, poszedł nareszcie w rosypkę, ucieczka ta pomieszała dzielnie walczące Tatary i wkrótce stała się powszechną, wtedy siedliśmy im z szablami na karki i gnaliśmy do ciemnej nocy, która resztę pogaństwa zbawiła. Poległo ich około ośmiu tysięcy, dwa tysiące pojmano. Siedm chorągwi nasi zdobyli. Racz wasza książęca miłość to świetne zwycięztwo Bogu wszechmocnemu i potężnemu, a nie nam przyczytać.

Rozradowało się serce Leszka na tak pomyślne nowiny, kazał on natychmiast wyciągać zebranym w blizkości stolicy chorągwiom, aby jak najśpieszniej

mógł ścigać korzyści z odniesionego zwycięztwa, a Paweł biskup, na którego tajemne podejrzenie padało, że swemi podniety tych nierzyjaciół ściągnął na Polskę, w dniu tym radośnym, przybrany w stosowne i przyzwoite swej dostojności szaty, składając wraz z książętami i ludem dzięki Najwyższemu za tę pomyślność, którą oręż polski obdarzył, pierwszy wśród okazałego gmachu katedralnej krakowskiej świątyni zaśpiewał: *Ciebie Boże chwalimy.*

Tego dnia jeszcze obaj książęta opuścili mury stolicy, a Gryfina, korzystając z nieobecności Leszka, dalsze z Czechami o następstwo polskiej monarchii układała praktyki.

ROZDZIAŁ IX.

Władysław na grobie Bolesława, kaliskiego książęcia.

Gdy Leszek Czarny po sławnem w bliskości Goślic zwycięztwie nad Rusią, Litwą i Tatarami, ruszył z Krakowa dla wsparcia walczącego z nieprzyjacielem rycerstwa; gdy połączywszy wszystkie swe siły, postanowił ścigać schronione do Rusi niedobitki pokonanej dziczy i pomścić się na przywódzcy tej krwawej wojny, książęciu ruskim Leonie; gdy spustoszywszy prawem odwetu kraje jego, nie oparł się aż o Lwów, świeżo przez tegoż książęcia założone i wtedy jeszcze nieznakomite miasto—tymczasem brat

jego Władysław, po długiej nieobecności w swym kraju, witał z rozrzewnieniem domowe zamku brzeskiego ściany. Wróciło już jego rycerstwo z Gdańskiej potrzeby i sposobiło się do nowej na Litwę i Rusinów wyprawy. Wtem rozeszła się smutna wiadomość, że Bolesław Pobożny książę kaliski, oddawszy dowództwo wojska Przemysławowi dla dalszej z Brandeburczykami wojny i wróciwszy na łono rodziny, po krótkiej chorobie chwalebnego życia dokonał.

Wieść ta była okropnym ciosem dla serca Władysława. Porzuca dom i gotowe do wojny rycerstwo; pomija ważne nawet sprawy kraju swojego i sam wraz ze Zdzisławem, którego do swych losów przywiązał, pędem strzały do Kalisza przybywa. Lęka się spotkać znajome sobie oblicza, aby z nich nie wyczytał potwierdzenia okropnej dla siebie nowiny; wjeżdża do zamku, lecz ani straży przy mostach, ani żadnej na dziedzińcach nie znajduje żyjącej istoty. Wszystko wokoło grobowe otoczyło milczenie. Zawarta zamkowa kaplica, zawarte drzwi boczne i przystępy, a widząc jedne tylko główne podwoje stojące otworem, wbiega do sieni i spostrzega siedzącego na ławie kamieni starego Sulisława.

— Prawdaż to, przyjacielu? — zawołał.

— Niestety — odpowiada zapłakany starzec — straciliśmy pana, dobrodzieja i ojca, a z całego niegdyś świetnego dworu, z całej sług i przyjaciół drużyny, ja sam jeden w tych murach zostałem.

Łzy się puściły nanowo z oczu rozczulonego starca. Płakał z nim razem Władysław i długo obydwa nie śmieli przerwać tego uroczystego milczenia,

które, złączone z ich łkaniem, było najpiękniejszą zgasłego Bolesława pochwałą.

— Ktoby się spodział—rzecze nakoniec Sulisław— żeby te skrzepłe i zgrzybiałe ręce mojego czerstwego jeszcze i pełnego męzkiej siły pana wnieść miały do grobu. O Boże wielki! dotknąłeś nas straszliwym ciosem. Ale niezbadane są Twoje wyroki, a święta wola, której bez szemrania poddać się należy.

— Gdzież jest Jolanta, gdzie są jej córki? — zapytał płaczącego rzewnie starca Władysław.

— Nazajutrz po odbytym pogrzebie, a szósty dzień temu, opuściła księżna na zawsze te okropne mury — odpowiedział Sulisław.

— W któreż się strony udała, gdzież ją widzieć, gdzież jej można złożyć hołd żałości i poszanowania?— rzecze znowu Władysław.

— Widzieć? — odrzeknie starzec — już jej podobno nikt z nas widzieć nie będzie. W Krakowie, w murach klasztornych i w zakonnej szacie postanowiła resztę dni życia przepędzić, razem z Kunegundą siostrą, a wdową po Bolesławie, krakowskim książęciu.

Nie śmiał Władysław zapytać o księżniczki w obawie powzięcia jakiej okropniejszej dla serca swego nowiny, a po długiej chwili milczenia przemówił nareszcie:

— Gdzież spoczywają szacowne Bolesława zwłoki?

— Chodź za mną — odpowiedział Sulisław — ja cię zaprowadzę na grobowiec tego cnotliwego książęcia, a jeśli przy martwem jego ciele, jeśli w tej wielkiej chwili, gdy pierwszy raz ujrzysz te zwłoki, które niegdyś tak szlachetna ożywiała dusza, nie zaprzysięgniesz Bogu i ludziom wszelkich sił dołożyć,

abyś się stał podobnym zmarłemu, młody i pełen nadziei Władysławie, letni Sulisław zaprze się twojej przyjaźni. Teraz dozwól mi, abym ci skreślił ostatnie pana mojego chwile, czuję albowiem, że bez zdjęcia tego ciężaru z serca nie mógłbym znieść mężnie widoku jego śmiertelnych szczętów. Powrócił z gdańskiej wyprawy tak czerstwy i wesół, jakim go nie widziano oddawna. Sulisławie — rzekł mi z radością — gracko się nam powiodło, a piękne kraje Pomorza zapewniliśmy na zawdy dla Polski i dla Przemysława, naszego następcy. Niezadługo potem uczuł się słabym, ale się nikomu nie zwierzył, we dwa dni wzmogła się niemoc i przywołano lekarza; ale użyte środki nie przyniosły spodziewanego skutku. Od piątej doby począł być niespokojnym i drażliwym, a lekarz o niebezpieczeństwie przemówił. Noc miał złą bardzo i często zrywał się z gorączki. Nad ranem oddalił wszystkich ze swej izby, a gdyśmy weszli w dwie godziny, znaleźliśmy go piszącego. Wzruszenie, jakiego doznać musiał, pogorszyło stan jego. Uspokajał przecież łagodnemi słowy żonę, dzieci i wszystkich przytomnych. Gdym został sam przy nim, rzekł mi po chwili: — Sulisławie, w daleką nam trzeba przygotować się podróż. Jesteś mężem i wiernym mym sługą i tobie niezadługo przyjdzie za nami. Coraz bardziej poczuwam, że Bóg dni moje policzył. Słuchaj mię przeto z uwagą. To pismo oddasz Przemysławowi. W niem poruczam mu opiekę nad dziewkami naszemi. Gdy Jan Grzymała zgasł przed niedawnym czasem, przeznaczyliśmy kasztelanię kaliską dla Sędziwoja starosty i dotąd marszałka dworu naszego, wam zaś starostwo kaliskie. Wkrótce ten zamek przestanie być książęcem

mieszkaniem. Strzeż wiernie murów i twierdzy, którąśmy dźwignęli, i broń jej przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom ojczyzny. Odkazuję wam konia, na którym ostatnią odbyłem wyprawę, i wierne psy moje. Nie żałuj im kęsa chleba za to, że mi tak dobrze służyły. Ten łańcuch złoty z wizerunkiem ojca naszego i ten pierścień oddasz synowcowi naszemu, Przemysławowi. Ten buzdygan, który mi towarzyszył we wszelkich wojennych potrzebach, zostawiam w upominku Władysławowi, książęciu na Brześciu. Teraz przywołaj do mnie kapłana. Ucałowałem szaszanowną jego rękę i pomimo całej stałości umysłu, w którą się uzbroić pragnąłem, łzy rzewne puściły się z mych oczu strumieniem. Widząc to, zawołał: Sulisławie, bądź mężem i nie szlochaj jak dziecko. Przywołany kapłan został z nim blizko godzinę, a gdy go opatrywał Sakramentami Świętemi, księżna wraz z dziećmi i wszystkiemi sługami u jego łoża klęczała. Potem rzekł do przytomnych:—Teraz mi lżej daleko, a jeśli mię Najwyższy do zdania liczby z spraw moich powoła, stanę wesoło i bez trwogi przed Jego wszechmocnem obliczem. Następnie żegnał i błogosławił żonę, dziatki, domowników i sługi, a oddaliwszy wszystkich, oprócz Jolanty, dawał jej tajemne zlecenia i rozporządzał wszystkiem do najdrobniejszych szczegółów. Pod noc zdał się być dosyć spokojnym. Pilnowaliśmy go koleją, a siódmego dnia choroby skonał jak żył, spokojnie. Nie potrafię wam opisać okropności tej chwili. Odezwały się dzwony zamkowej kaplicy i miejskich kościołów, ale ich przed płaczem ludu wkrótce słychać nie było. Przez dziewięć dni po dopełnionym pogrzebie odbywać się ma z woli

księżny żałobne nabożeństwo za tę czystą duszę, którą Bóg zabrał do niebios. Już to jest dzień siódmy, a ujrzysz jeszcze tłumy ludu, zalegające Pańskie przybytki.

Zbliżyli się do kościoła Świętego Pawła. Właśnie rozpoczęła się święta Ofiara. Wszystkie ściany powleczone były czarnem obiciem. Na środku wznosiły się mary zgasłego książęcia. Tysiące świateł jaśniało dokoła. Zaledwie przecisnąć się mogli przez lud zebrany, a gdy Władysław z Sulisławem padł na kolana przed ołtarzem, u którego odprawiała się Msza uroczysta, wtedy kapłani zaśpiewali przed Ewangelią hymn następujący o sądzie ostatecznym:

Dzień ten straszliwy, a dzień ostateczny
Będzie dniem gniewu i kary;
Zagasną gwiazdy i okrąg słoneczny,
Świat cały w popiół obrócą pożary.

Jak straszna trwoga w tej chwili powstanie,
Jakie jęki, płacze, krzyki!
Gdy zstąpisz z niebios na sąd świata, Panie,
I gdy serc ludzkich przeniknięsz tajniki!

Wtedy się wszelkie rozwiną skrytości
Przed Wszechmocnego oczyma;
Lecz jeśli, Panie, uchylisz litości,
Któż przed Twym sądem wytrzyma?

Ucichły pienia kapłanów. Dźwięk uroczysty dobranych głosów skonał pod sklepieniami kościoła. Tłumy ludu upływały powoli przez otwarte podwoje. Rzęsiste światła pogasły. Podniesiono drzwi z ogromnego głazu, a Władysław z Sulisławem i z jednym służebnym świątyni, niosącym zapaloną pochodnię, wstąpili do grobu Bolesława, kaliskiego książęcia. Zdjęto wieko z dębowej trumny. Przejęty żałością i uszanowaniem młodzieniec długo w uroczystem milczeniu

wpatrywał się w znane mu rysy poważnego niegdyś i pełnego uprzejmości oblicza, do którego zniszczenie dotąd zbliżyć się nie śmiało. Zdawało się tylko, że sen łagodny zawarł te oczy, które za życia tak żywym blaskiem jaśniały. Nakoniec, zgiąwszy kolana przed szanownemi zwłokami, z uniesieniem zawołał:

— Bolesławie Pobożny! Ty którego czysta i szlachetna dusza przeszła w przybytki cnotliwych, przysięgam na twoim grobie, że wierny tym prawidłom, jakieś wpajał w me serce, ani na krok z drogi prawości i cnoty nie znijdę; że wszystkie moje usiłowania, ku pomnożeniu dobra lubej ojczyzny zwracając, czystość anielską twoich zamiarów i uczuć następcom moim w dziedzictwie przekażę.

— Amen — odpowiedział głosem donośnym siwy starzec, którego nie dojrzeli, gdy razem z nimi wchodził do grobu.

Wracali w milczeniu do kaliskiego zamku, wtem przystąpił ku nim tenże sam starzec. Odzież jego zakonna, tykwa zawieszona u pasa obok różańca i długa biała laska, na której się wspierał, oznaczały pielgrzyma, a gęsta i śnieżna broda spadała mu na piersi. Twarz ściągła, chuda, nosiła na sobie oznaki długich umartwień i postów; oczy tylko niebieskie z pod białych i gęstych rzęsów ogniem młodzieńczym pałały. Gdy wzrok swój w idących wolnym krokiem utopił, poznał go Sulisław i temi do niego przemówił słowy:

— Tyżeś to, mężu pobożny? Za późno, za późno w te mury przybyłeś. Ileż to razy pan mój Bolesław wspominał, jak żywo pragnął widzieć was aby raz jeszcze przed zgonem!

— Rychlej niż sam mniemałem — odpowiedział

mocnym głosem przybyły. — Te stare nogi nie zdołały biedz razem z okropną wieścią o niebezpiecznej jego chorobie. Wreszcie zgasł on tak, jak mu życzyłem, cnotliwie. Dziś hołd należny jego zwłokom oddałem. Dość często troskliwość względem żyjących broni mi zajmować się tymi, którzy żyć przestają. Pozdrawiam was, Władysławie, książę brzeski kujawski.

— Znasz-li mię, sędziwy starcze? — zapytał go Władysław, wpatrując się mocno w jego oblicze.

— I dawno, i dobrze — odpowiedział pielgrzym. Kto na dziesiąty krzyżyk drugiego już dożył lata; kto tyle krajów obszedł i zwiedził, nie dziw, że znać może tych nawet, którzy go nie znają. Gdy ojciec twój Kazimierz był jeszcze chłopięciem, jam wtedy już nosił oręż przy boku i nazywano mię rycerzem. Pobłogosławił mu Najwyższy licznem potomstwem; a tyś zaledwie nóg twoich doświadczać zaczął, gdy mię moje przeznaczenie i smutna dola do Sieradza przywiodła. Wiele potem zwiedziłem ludów i krajów, wiele zwyczajnych i nadzwyczajnych zdarzeń pamięć moja objęła, a przecież nie zatarły się w niej rysy twojej twarzy dziecięcej, tak jak dziś w dojrzewającej widzę z radością przyszłej twej sędziwości i powagi znamiona.

— Głos wasz ma w sobie coś nadzwyczajnego i wyższego nad moje pojęcie — rzecze Władysław — a przecież tak wielką czuję do niego ponętę, że radbym was słuchać całe dnie i noce. Kto jesteś, szanowny i poważny starcze?

— Pielgrzym, tak jak wy wszyscy — odpowiedział mu na to;—z tą tylko małą różnicą, że wy no-

sicie oręż przy boku, a ja tę tykwę i różaniec; że wasza pielgrzymka odbywa się pośród omamień światowych i bujnych zamiarów, a ja żadnych już nie mając a żadnych, poglądam na siebie samego ze wstrętem, a na wszystko, co mię otacza, z litością i żalem. O, gdybyś wiedział, czem byłem, pewniebyś natychmiast między mną i sobą przestrzeń mili zostawił; gdybyś mógł poznać, czem jestem, pewniebyś mnie chciał zawdy przy swojem boku oglądać; bo ja wiem wiele rzeczy, o których nie każdy wiedzieć może z żyjących na ziemi. Ale napróżno, napróżno. Policzone są moje godziny, a zaledwiem tu przybył, już muszę zbierać się w drogę i dążyć a dążyć, aż póki do mety nie dojdę, która jeszcze się blizką nie zdaje.

— Wstąp z nami do kaliskiego zamku — odezwał się Sulisław — a nic na tem nie stracisz. Ty lubisz cichość, tam właśnie teraz jak w grobie. Ty lubisz samotność, tam teraz znajdziesz rozległą pustynię. Odpocznij strudzonym twym nogom, a gdy się posilisz i gdy nas twojemi powieściami nasycisz, dam ci przewodnika i konia; tak dogodniej dalszą podróż odbędziesz.

— Zgoda, ale tylko na jedno — odrzekł mu pielgrzym. — Wstąpię z wami na chwilę w te miejsca, którem przed ośmią laty tak świetnemi oglądał. Przewidywałem wówczas, że gdy tu powrócę, będę je widział pustemi. Lecz potem, tak jak przyszedłem, odejdę. Od dawnych już czasów nie wolno mi inaczej, jak na tych nogach, odbywać podróży, nie wolno tam przyjąć noclegu, gdzie mi ofiarowano posiłek, nie wolno dotknąć niczego ustami w tem miejscu, gdzie mi spocząć przez noc dozwolą. Tym spo-

sobem zwiedziłem Węgry, Niemcy i Włochy. Tym sposobem, ucałowawszy w Rzymie stopy tego, który jest widocznym Namiestnikiem Chrystusa, przebyłem Egipt, Styryę i Palestynę. Tam na świętym grobowcu Boga Człowieka zabłysnął mi pierwszy promyk nadziei zagładzenia z czasem pokutą ciężkich mych przewinień i grzechów. Ach, długo jeszcze i długo muszę być tułaczem w tem życiu, jeśli Bóg Wszechmogący przez litość pielgrzymki mojej nie skróci.

Weszli na dziedziniec kaliskiego zamku.

— Otóż jest wszystko — odezwał się znowu pielgrzym — na czem się kończą usiłowania człowiecze. Tyle lat pracował Bolesław nad wznoszeniem tych murów i gmachów i przyszedł czas, że w jednej chwili stały się pustemi, a kto wie, czy niemi nie zostaną na zawdy. Rozbiegli się po świecie domownicy i słudzy, uciekła od ścian, uderzonych piorunem śmierci, rodzina. Nie wstąpi tu więcej podobna dawnej wesołość, a szczupłe sklepienie wystarcza na objęcie tego, którego za życia rozległe zamki i dwory obejmować nie mogły.

— O mężu pobożny — rzecze Sulisław — inna zaiste była postać tych murów, gdyś w nie ostatnią razą wstępował. Lecz jeśli oczy twoje wglądać umieją w tajniki przyszłości, czemużeś wtedy nie ostrzegł tego zacnego i szanownego pana o niedalekim kresie jego pielgrzymki? Możeby on lepiej jeszcze użył zostającego mu czasu na świecie.

— Ja tych tylko ostrzegam — odrzekł mu pielgrzym — którzy żyjąc, zapominają że żyć przestaną. Nie potrzebował tego Bolesław. A jeżeli częstokroć wznosił bez widocznej potrzeby mury i gmachy, nie

wznosił on ich na krzywdzie swoich poddanych, ani ich łzami rozrabiać kazał klejące te głazy z głazami wapno. Bóg miłosierny pewnie mu lekkie błędy dla wielkich cnót odpuści.

— Otóż jest izba — odezwie się Sulisław— w której ten pan dobry i pobożny ducha wyzionął. W tem miejscu słuchał on niegdyś z radością przepowiedzeń waszych względem przyszłego losu córki swej starszej, Jadwigi. Często bardzo o tem wspominał. Szkoda, żeście tu później nie byli i żeście mu nie przepowiedzieli doli dwóch młodszych.

— Nie trzeba nadużywać — odpowiedział pielgrzym — smutnego i okropnego daru przewidywania przyszłości. Bóg ją mądrze przed okiem ludzkiem zataił i nie umyka nigdy tej strasznej zasłony, jak tylko dla wielkiej łaski lub kary. Byli tacy na świecie, którzy wpatrywali się w przyszłość oczyma czystej swej duszy i ci żyli w stanie najwyższej łaski, jaka tylko może być udzieloną śmiertelnym. Są inni, którzy za karę życia otrzymują smutny przywilej przenikania przyszłości. Tacy dręczą się wcześnie pewnością tego, co innym ludziom przez myśl nawet nie przejdzie. Któż wie, czybyśmy nie byli w podobnym przypadku, poglądając na resztę książęcia zmarłego rodziny? Bo nie każda róża, która w początku zabłyśnie, rozwinąć zdoła kwiat swój nadobny na podziw i ozdobę świata, a wiele jest takich, które przed czasem zwiędnieją. Ale Jadwiga, piękna, bogobojna, tkliwa i łagodaa Jadwiga, musi być z czasem małżonką i matką króla.

Na te słowa zapłonął Władysław. Dostrzegł to natychmiast przenikliwy starzec, a zatapiając

wzrok swój bystry w jego oblicze i chcąc mu podać sposobność do dalszej rozmowy, której gorącą żądzę z oczu młodego książęcia wyczytał, zapytał go łagodnym głosem:

— Cóż ci to, Władysławie — zkądże ten żywy rumieniec na twarzy? Wolnoż jest poznać tajemną twych uczuć pobudkę?

— Pobożny starcze — rzecze na to Władysław — jeśli ci jest dozwolono poznawać przyszłość, snadniej daleko w sercach ludzkich czytać ci zapewne przychodzi. Jest do nich klucz pewny, a ten z doświadczeniem i wiekiem otwiera wszystkie w niem zawarte skrytości. Wiem, że uczucia moje jawnemi są przed twojemi oczyma. Ale twe słowa i przepowiedzenia o tej pięknej a cnotliwej księżniczce, stan mój i okoliczności krajowe, narażają mię na tysiące sprzecznych z sobą myśli, niekiedy zaś do rozpaczy przywodzą. Wyrwij mię więc z tak okropnego położenia, a jeśli twoje przestrogi i napomnienia, jeśli wskazanie mi odległej, choćby też najokropniejszej przyszłości...

— Zanadto, zanadto żądacie po mnie — przerwał mu mowę pielgrzym.—Chcecież to poznać w jednej chwili, za com ja tak drogo, bo cnotą i niewinnością przypłacił? Wszelako poczuwam litość nad wami, a obowiązkiem moim jest równie ostrzegać tych, co błądzą i grzeszą, jak i tych, którzy wyprowadzeni ręką przeznaczenia na rozstajne drogi życia, nie wiedzą z pewnością, którą się udać powinni. Dlatego posłuchaj głosu mojego z uwagą, Władysławie, lecz gdy mówić przestanę, o nic mię dalej nie pytaj. Powiem ci więcej może niźlim powinien, bo

los twój wiąże się z losami drogiej sercu naszemu ojczyzny, bo twoja przyszłość mocno mię oddawna obchodzi. A jeśli to, co ci zapowiem, nie ziści się z czasem, przypisz to nie mnie, lecz sobie. Jeśli zaś jaką cię nabawię wątpliwością lub trwogą, wtedy mię poszukaj. Będę ja bliżej ciebie niźli sam rozumiesz i znajdziesz mię gotowego ku twej pomocy. Ale nie szukaj mię w zgiełku światowym lub pośród ludzi zepsutych, a chcących jaką znakomitością zasłynąć przed światem. Wpośród skał i jaskiń podziemnych, wśród niedostępnych lasów i pustyń, tam, gdzie nic oka duszy roztargnąć nie zdoła, tam to ja będę czekał z przestrogą prawdy, a wtenczas może nawet dowiesz się z przestrachem, kto jestem. Usłyszałem z ust twych ohydny i nienawistny dla mnie wyraz rozpaczy. Nieskażonego serca młodzieniec rumienić się powinien jak zbrodni, gdy to słowo wyrzecze. Wszystko jest snadne dla tego, kto ma wolę, siłę i cnotę. Ostatnia prowadzi do drugiej, ta zaś pierwszą utwierdza. Tyle jest na świecie dróg nadzwyczajnych, przez które Opatrzność wielkie swoje zamiary do skutku przywodzi, że pozorne a tysiączne nawet sprzeczności łatwo się pogodzić dozwolą, że same nawet niepodobieństwa przechodzą w snadne dopojęcia rachuby. Z twojego czoła łatwo wyczytać, jak bujne myśli przemijać się zdają i zajmować twój umysł codziennie. Nie dopuszczaj tylko, aby do cnotliwych zamiarów przymieszało się co obcego i nieczystego, a rychlej, czy później ziścić je dozwoli Opatrzność. Radbym ci odkrył to, co mi w tej chwili zdaje się być jawnem i widocznem. Ty będziesz z czasem potężnym i wielkim książęciem, ale twój

następca dopiero tego imienia dostąpi przed światem. Przez męztwo i cnotę nieraz nawet tronu dosięgniesz, lecz nieraz będziesz musiał innym tak znakomitego miejsca ustąpić. Wojownik, monarcha i tułacz, raz w purpurze królewskiej, drugi raz w mniszej kapicy, raz z berłem i orężem w ręku, drugi raz z koszturem i tykwą pielgrzyma przy boku, raz w przybytkach i pałacach monarchów, drugi raz w jamach niedźwiedzi i zwierząt drapieżnych łożyskach, przejść musisz wszystkie koleje i ścieżki, na jakie tylko w tem nędznem życiu może być narażony śmiertelnik, musisz poznać i doświadczyć na sobie równie okropności losu nędzarza, jak i doli monarszej, nim się w tobie wykształci cel wszystkich zamiarów Stwórcy i całego świata, to jest w całem znaczeniu tego wyrazu *Człowiek*. Lecz bądźcie zdrowi, bo już godzina mego spoczynku wybiła.

To rzekłszy, pochylił nieco sędziwą swą głowę na znak pożegnania i zniknął.

ROZDZIAŁ X.

Leszek wojuje z Litwą.

Narymund, syn Trabusa, panował wówczas na Litwie, gdy pierwsze chwile panowania Leszka Czarnego wsławiło znakomite pod Goślicami zwycięztwo. Znany w dziejach ze swych okrucieństw Troyden, objąwszy berło po zgonie Narymunda, brata, zapragnął na początku swych rządów pomścić na Polsce

tkwiące w pamięci Litwinów klęski. Jakoż zebrawszy niemałe wojsko i przyłączywszy do niego Jadźwingów, którzy przed polskim orężem uszli z Podlasia do Litwy, wpadł w księztwo lubelskie i zniszczył je ogniem i mieczem. Wieść o tym nadspodziewanym napadzie pobudziła Leszka do nowej wyprawy. Z ludem naprędce zebranym ruszył on niezwłocznie w Lubelskie, wezwawszy przez listy tak szlachtę z krakowskiego, sandomierskiego i sieradzkiego, jako też brata, Władysława, który mu przyrzekł być zawsze ku pomocy, ile tylko razy zagrożoną zostanie ojczyzna. Lecz nagłość potrzeby nie dozwoliła mu czekać nawet na zebranie się zupełne własnych poddanych, tembardziej na braterskie posiłki. Wołali gwałtownie o wsparcie, przyciśnięci srogim pogaństwa orężem lublinianie, gdy napad gwałtowny odjął im wszelkie środki obrony. Nieleniwy do dzieł wojennych Leszek, rzuca wszystkie domowe sprawy, odwleka rozpoznanie i karę świeżych Pawła biskupa podstępów, odsyła go wszelako pod strażą do sieradzkiego zamku, zdając rozstrzygnienie tej rzeczy na kasztelana, wojewodę, dziekana i scholastyka krakowskich, a z garstką wojennego ludu leci na wsparcie niszczonemu przez barbarzyńców krajowi. W drodze łączy się z nim w pogotowiu będące rycerstwo. Lecz jakkolwiek skorym ku Lublinowi spieszył pochodem, jakkolwiek ani trudów, ani gorliwych starań nie szczędził, przecież już przybył za późno. Objuczone łupami pogaństwo uchodziło już ku swym granicom z mnóstwem więźniów różnego stanu i wieku, a kraj cały, którym wracało, wystawiał postać najokropniejszej pustyni. Wahał się Leszek azali

ze szczupłym i znużonym ludem puścić się ma w pogoń za Litwą, i już zdrowsza napozór rada wrócenia się w mury Krakowa przemagać poczęła nad wątpliwym umysłem, gdy niepewnemu jeszcze, co ma przedsięwziąć, i dumającemu samotnie wśród nocy nad losem nieszczęśliwych poddanych, stawa przed oczy cudowne zjawisko. Był to mąż wyższej nad ludzką postawy, w świetnym na głowie szyszaku, z orężem w ręku i cały zbroją okryty. Ten, skoro wstąpił do namiotu Leszka, nadzwyczajna światłość błysła przed oczy zdumionemu i przelękłemu monarsze. Zrywa się z łoża, na którem uzbrojony spoczywał, przeciera oczy, długo sam sobie nie wierzy, czyli jest we śnie albo jawie; lecz dreszcz śmiertelny, który wszystkie jego przeniknął kości, wywodzi go nakoniec z omamienia.

— Kto jesteś mężu, świetną połyskujący zbroją, i po co tu do nas w tej godzinie spoczynku przybywasz?

— Synu Kazimierza—odezwie się widmo—nie znaszli mego oblicza?

— Nigdym cię nie widział w mem życiu—odpowiedział Leszek.

— Patrz lepiej, a patrz oczyma duszy i wiary—przemówił głosem potężnym mąż zbrojny.

— Widziałem, prawda—rzekł Leszek—tak jest, widziałem postać do twojej podobną, te oczy, które nakształt niebieskich pochodni jaśnieją, ten miecz, który błyska płomieniem, alem pewnie nie widział i nie zobaczę pomiędzy żyjącymi podobnej tobie istoty. Takim wyobrażają ludzi Wodza niebieskich zastępów.

— Dodaj do tego — rzekło zjawisko — dawcę zwycięztw i obrońcę uciśnionych a mocno wierzących niewinnych. Tak jest, synu Kazimierza. Za moją przyczyną rozproszył Najwyższy tłum dziczy, zgromadzonej u Goślic na połknięcie szczuplego ludu twojego. Jam rozsiał popłoch i trwogę w ich hufce, które jeszcze przed trzema dniami ogniem i mieczem niszczyły tę nieszczęśliwą ziemię. Masz mię przed sobą i widzisz i jeszcze wahasz się niepewny. Dobądź więc z pochew oręża, choćbyś ich z garstką tylko ludu twojego doścignął, uderz bez trwogi, a jeśli masz silną wiarę i męztwo, zwyciężysz.

Padł na kolana zdumiały Leszek i uchylił ku ziemi twarz przerażoną świętem zjawiska obliczem, lecz gdy podniósłszy oczy do góry, chciał coś jeszcze przemówić, nic już około siebie nie ujrzał. Czując się pokrzepionym nadzwyczajnem męztwem, wychodzi z namiotu, rozkazuje pobudzić uśpione rycerstwo, a dosiadłszy dzielnego rumaka, rusza z przebrańszym ludem w pogoń za uchodzącą do swoich norzysk i lasów Litwą.

Już rzeki Bóg i Narew zostały w tyle obciążonego łupami polskiemi pogaństwa. Sam Niemen odgraniczał je od zniszczonego niegodziwym napadem kraju. Pokrępowani polscy więźniowie stracili wszelką nadzieję pomocy, widząc przed sobą tę rzekę, która miała bezpiecznie barbarzyńców zasłonić. Przykuci do wozów starce przeklinali dzień urodzenia swojego. Mężowie z przewiązanemi w tyle rękoma i posworowani nakształt psów przez dzikich swoich zwycięzców, z rozpaczy i żalu gorzkiemi zalewali się

łzami. Lecz najdotkliwszym i rozdzierającym serce był widok szlachetnych dziewic polskich, które, wyrwane ze spokojnych domów i z łona pomordowanych rodziców, obnażone z szat i ozdób płci swojej właściwych, okryte kurzem i błotem i w jedno miejsce spędzone, szły jak niewinne owieczki, przeznaczone na krwawą ofiarę, a szły poganiane ohydnie pletniami tych, których za panów swoich uznawać musiały. Widziano pomiędzy niemi niejedną twarz, celującą wdziękami i urodą, dziś poszarpaną i pokaleczoną od własnych rąk z dojmującej do żywego rozpaczy. Widziano okropne ślady ciosów na ciele tych, które najmniejszym oporem w nużącej podróży rozdrażniły srogie umysły swych stróżów i katów. Gdy już się zbliżyły ku brzegom Niemna i gdy zdaleka wieże zamków litewskich na drugiej stroniej tej rzeki leżących ujrzały, widok tych murów, w których czekały na nie okropne a dozgonne katusze, takie pomiędzy niemi wzbudziły jęki, szlochania i płacze, że się na sam ich odgłos najdzikrze serca miękczyły. Niektóre z nich, nie mogąc iść dalej ze znużenia lub z ostatniej rozpaczy, wyżebrały nareszcie od swoich stróżów krótką chwilę spoczynku, a padłszy na ostatni kęs ziemi ojczystej i całując ją ze łzami, w takich śpiewach wylewały bolesne swoje uczucia:

Okryte błotem, spętane stryczkami
Wleką nas w Jasyr bezbożne pogany;
Za nami Wisła i Narew za nami,
Przed nami hańba, kajdany.

Nim noc to słonko zagasi
Przejdziem Niemen niewolnice;
Gdzież jesteście bracia nasi,
Gdzie mężowie i rodzice?

Wkrótce barbarzyn bez trwogi i tamy,
Wszystkie sprosności przeciw nam wymiota;
Wkrótce w męczarniach i pętach skonamy
Lub nas dobije sromota.

Nim noc to słonko zagasi
Pójdziem w Litwę niewolnice;
Gdzież jesteście bracia nasi,
Gdzie mężowie i rodzice?

Szczęsne te siostry, co przed życia wiosną
Zajęły wcześnie z twardych głazów łoże;
Ach, gdy nam dolę przeznaczasz tak sprosną,
Pocoś nas stworzył, o Boże?

Nim noc to słonko zagasi
Pójdziem w turmy niewolnice;
Gdzież jesteście bracia nasi,
Gdzie mężowie i rodzice?

Jeszcze żałosne echa nadniemeńskich lasów powtarzały te jęki boleści, gdy znagła odezwały się trąby wojenne i znane dobrze polskim więźniom rodaków okrzyki.

— Do broni! do broni! — wołali, poploszeni niespodziewanym napadem Litwini.

Ale już szczęk oręża rozlegał się wszędy, gdzie tylko chciano zrazu stawić nacierającym czoło.

— Ratujcie, co możecie!—zawołano od Niemna.

— Dalej bracia, uderzajcie żwawo i dzielnie w Imię Boga i świętego Michała! — wołał Leszek na swoich.

Rozpoczęła się bitwa, albo raczej rzeź okropna. Polacy, chociaż ich tylko około sześciu tysięcy na plac rozprawy przybyło, z taką odwagą i zapamiętaniem rzucili się na tłumy Litwy i Jadźwingów, że ci po krótkiej i niezbyt uporczywej walce, mniemając, że tylko z przednią strażą do czynienia mają i że główne wojsko za nią ciągnąć musi, bez omieszkania tył sromotnie podali.

W tej chwili polscy więźniowie nabrali ducha i męztwa. Widząc coraz bardziej rzedniejące około nich barbarzyńców straże, świadkowie nadzwyczajnego popłochu i sromotnej z łupami ku Niemnowi ucieczki, zaczęli targać swe pęta i jeden drugiego z kajdan wyzwalać, a gdy się tym sposobem oswobodziła niemała ich liczba, rzucili się oślep na uciekających Litwinów i wydartym z ich rąk orężem pouzbrajali spętane niedawno prawice. Wtedy poczęła srożyć się ze wszystkich stron rzeź najokropniejsza tak dalece, że zaledwie trzy upłynęły godziny od niespodziewanego Leszka napadu, a już żadnego Litwina, ani Jadźwinga nie widziano żywego z tej strony Niemna. Mała ich liczba ratowała się niebezpieczną przez rzekę przeprawą. Wielu z tych, co się w wodę rzucili, pochłonęły bałwany.

Któż określi radość i uniesienie polskich branek, gdy się ujrzały wolnemi i gdy niektóre w swoich obrońcach poznały i uściskały mężów, ojców i braci? Któż zadziwienie Leszka i całego rycerstwa wypowie, gdy po rzezi, jakiej w dziejach Polski nie było przykładu, po bitwie, w której krwi potoki strumieniem płynęły, żadnego nie zabrakło z wojska polskiego żołnierza, żaden nawet z walczących lekko ranionym nie został? To cudowne i przechodzące wszelkie pojęcie zdarzenie wszyscy w upokorzeniu i skrusze serc swoich, nie ludzkim ramionom, ale raczej Najwyższego potędze przyznali.

Powrócił Leszek ze swymi w mury Lublina, a pierwszem jego staraniem i dziełem było wzniesienie świątyni na cześć świętego Michała, którego objawieniu i wsparciu winien był tak znakomite zwycięz-

two. Z wielką uroczystością udał się z zamku polski monarcha, otoczony duchowieństwem i całem rycerstwem, na przeznaczone miejsce. Tam, po odprawieniu żarliwej z całym ludem modlitwy, sam własną ręką pierwszy kamień położył. Za wzorem książęcia poszli otaczający go Polacy; pracowano we dnie i w nocy około budowy kościoła.

Lecz wkrótce zaczęły nadbiegać do Lublina smutne dla tego książęcia i niepomyślne nowiny. Wzbudzona tajnemi podszepty sandomierska i krakowska szlachta, burzyć się przeciw niemu poczęła. Liczni nieprzyjaciele korzystali z jego nieobecności w Krakowie. Poczęto głosić o wyniesieniu na krakowskie księztwo, a tem samem i na polską monarchię Konrada mazowieckiego książęcia, a jakby mało jeszcze było tych ciosów dla serca Leszka, zwalczona podwakroć Litwa nowym zagroziła napadem.

Troyden, książę litewski, a sprawca i przywódca ostatniej wojny, poległ od nasłanych przez brata Dowmunda siepaczy. Lecz syn pierwszego, Rymund, który za życia ojca został był bożyszcz litewskich kapłanem, wynurzył się z tajemnego ukrycia i podniósł oręż dla pomszczenia śmierci ojcowskiej. Sprzyjały mu ludy i okoliczności czasowe. Zwiodłszy bitwę z Dowmundem i zabiwszy go własną ręką, pogardził tronem, na którym Witenesa, marszałka dworu ojca swego, osadził, sam zaś między czernce powrócił. Nowy ten książę, ojciec Gedymina, a przez to głowa całego i hojnie rozplenionego książąt litewskich rodu, miał dzielne ramię i umysł do spraw rycerskich pochopny. Ciężyły mu na sercu klęski, jakie dwukrotnym zawodem Litwa od Polaków ponio-

sła. Chcąc zatem pierwiastki swej władzy wsławić jakim czynem znakomitej przewagi, począł się sposobić do groźniejszej nad inne przeciw Polsce wyprawy. Wątpliwy Leszek, w którą udać się miał stronę: czyli przygasić w samym zarodzie tlejące dopiero buntu zarzewie, czyli też stanąć w obronie zagrożonej od Litwy ojczyzny—przeniósł to drugie nad pierwsze i czuwając bacznie nad granicami państw swoich, w Lubelskiem pozostał. Nie zaspał on wszelako i spraw swych domowych. Powziąwszy albowiem pewną wiadomość, że Władysław, brat jego, z kujawskiem rycerstwem ku Lublinowi nadciąga, zlecił mu, po odesłaniu swych hufców, do wspólnej potrzeby udać się osobiście w mury Krakowa i wszelkiego dołożyć starania ku rozpoznaniu stanu państwa i uspokojeniu burzących się przeciwko niemu umysłów.

To polecenie, śliskie poniekąd i nie obiecujące bynajmniej pomyślnych skutków, uradowało przecież serce Władysława. Udając się w te miejsca, w które się Jolanta, wdowa po kaliskim książęciu, z córkami swemi schroniła, powziął razem słodką nadzieję widzenia pięknej, cnotliwej i tyle mu przychylnej Jadwigi. Nie przewidywał on wcale, jakie go spotkać miały przeszkody i cierpienia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE Biblioteka Gliwice
BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GLIWICACH

SPIS RZECZY.

			Str.
Przedmowa			5
ROZDZIAŁ	I.	Powrót z łowów	11
ROZDZIAŁ	II.	Nieznajomy	20
ROZDZIAŁ	III.	Turnieje	35
ROZDZIAŁ	IV.	Przygotowanie do wojny	53
ROZDZIAŁ	V.	Pierwsze dni pochodu	72
ROZDZIAŁ	VI.	Oblężenie Gdańska	89
ROZDZIAŁ	VII.	Podróż Władysława z pod Gdańska	106
ROZDZIAŁ	VIII.	Władysław w Krakowie	128
ROZDZIAŁ	IX.	Władysław na grobie Bolesława, kaliskiego książęcia	145
ROZDZIAŁ	X.	Leszek wojuje z Litwą	158

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
Gp 23053